Dziś w numerze: Co będziemy czytać w tym roku? ● Niezapomniany rok trzydziesty szósty ● Mielizna ● Cywilizacja a choroby psychiczne ● Sieradz zwycięski ● „Kiedy Łowicz staje w szranki"

odgłosy

19 (512)
11. V. 1969 r.
Cena 1.50 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK XII

ANDRZEJ MAKOWIECKI

BERŁO w worku

Godzina czternasta.

O tej porze w kopalni odbywa się zmiana warty. Jedni wychodzą z czarnych, przepaścistych wyrobisk, drudzy zjeżdżają w dół samochodami po grząskich serpentynach. Jedni zaczynają toaletę pod obrotową, mechaniczną szczotką do gumowych butów, która pryska wodą i szoruje, a potem idą do łaźni — drudzy są już po kostki w brunatnym błocku i ocierają z twarzy pierwszy pot.

Rejwach na autobusowym dworcu. Stąd, za darmo i wygodnie, rozwozi się ludzi do domów kopalnianym transportem. Do odległego o ponad trzydzieści kilometrów Zgorzelca, do pobliskiej Bogatyni, do okolicznych osad i wiosek: Jasnej Góry, Opolna, Sieniawki, Kopaczowa i Trzcińca, Zatonia i Porajewa — wszędzie tam, gdzie górnicze osiedliska i robotnicze hotele.

O tej porze...

W trzydziestodwutysięcznym Zgorzelcu rozpoczyna się sjesta. Górniczy klub „Kubuś" otworzył podwoje dla ogólnopolskiego turnieju szachowego „Złotej Wieży" (tłum kibiców przy dwudziestu stołach; przedstawiciel Rady Narodowej i ktoś znaczny z Warszawy). W miejskim parku toczy się zacięty bój w tej samej dyscyplinie: dwóch Greków przy kamiennej szachownicy (pół boiska do siatkówki) kłóci się wściekle w ojczystym języku popychając nogą drewniane konie, których z powodzeniem można dosiąść. Inni starzy Grecy popijają właśnie Martini w „Łużyczance", a ich okutane w czarne chusty połowice robią akurat najazd na sklepy, wykupując dokładnie cebulę, czosnek i paprykę. Młode Greczynki sączą kawę w „Kameralnej", młodzi Grecy śpiewają i grają na gitarach w swoim klubie przy głównej ulicy albo w Powiatowym Domu Kultury: autentycznym pałacu, albo też nad brzegiem Nysy — słuchani przez Polaków z jednej, Niemców — z drugiej strony. Na zmurszałych, poszczerbionych murach Gorlitz powiewa bielizna i można przeczytać wytarte, gotyckie napisy, a także popatrzeć na mundury sąsiedzkiej straży pogranicza — aby zaraz przerzucić wzrok na naszych chłopaków z WOP-u i nasze napisy o trwałości zachodnich rubieży, i nasze komfortowe zgorzeleckie osiedla: Centralne i Warszawskie, w którym mieszkają górnicy.

O tej porze...

W dziesięciu zakładach szesnastowiecznej Bogatyni (tekstylne, bawełniane, winiarskie, galanteryjne, transportowe) dzień roboczy dobiega kresu. W Domu Kultury od dwóch godzin trwa próba amatorskiego teatru. Na podmiejskim stadionie trzecioligowy tandem pił-

Dalszy ciąg na str. 3

JERZY URBANKIEWICZ

Dziedzictwo Jana Kantego

Dla zmotoryzowanego przybysza od strony Warszawy tablica z napisem „ŁÓDŹ" ma za tło ciemną zieleń lasu. Następna ostrzega o niebezpieczeństwie grożącym ze strony jeleni, które przebiegają tu drogę. Potem las się kończy a rzadkie domy zwiastują bliskość miasta i wreszcie wielkie skrzyżowanie każe się przyjezdnemu domyślać, że tu jest właściwy początek Łodzi. Z lewej — zielone wzgórze cmentarzy, z prawej, za doliną wyschniętej rzeczki — dwa długie budynki mieszkalne, zza których wyglądają wieżowce przybrane od góry neonami. Otóż w miejscu, gdzie stoi jeden z tych długich budynków na skarpie, kilkanaście lat temu było uprawne pole. Wykopano na nim dół, ułożono kilka cegieł w kształt węgła, przyjechali dostojnicy, ktoś rozwinął rulon pergaminu: „Działo się w Łodzi, dnia..." Potem — z uroczym brakiem doświadczenia w murarskim rzemiośle przekazali puszkę z aktem erekcyjnym komuś, kto ją tam — być może — po wielu latach znajdzie. Tak się zaczęła historia osiedla Doły.

A wcześniej była tu wieś, dość biedna z powodu piasków i żwirowisk. Może te doły, z których czerpano piach, dały nazwę wsi. A może z innych wymyślono ją powodów. Dolinka rzeki Łódki, choć ją ludzie w znacznym stopniu wygładzili, wyrównali, zasypali śmieciami jest dziś jeszcze najładniej ukształtowanym fragmentem Łodzi. Wieś należała do gminy Radogoszcz, a mieszkał w niej jeden z ostatnich wójtów — Jan Kanty Kozłowski. I jest tam, w bok od Brzezińskiej uliczka, nie wiadomo dlaczego zwana Oświatową. Tam właśnie siał żytko Jan Kanty Kozłowski i on to uczcił swojego świętego patrona, dając tej uliczce nazwę Jana Kantego.

Łódź zainteresowała się Dołami, kiedy się ciasno zrobiło na cmentarzach. Mianowicie w roku 1898 doszło do tego, że na Starych Cmentarzach niepodobna było wykopać mogiły, by się nie natknąć na niedawno złożoną w ziemi trumnę. To też parafia Najświętszej Marii Panny zakupiła we wsi Doły włókę gruntu za 15.700 rubli. Za jej przykładem poszła ewangelicka parafia św. Trójcy. W tym samym czasie założono też cmentarz na Zarzewie i w ten sposób nazwy tych dwóch wsi stały się dla łodzian synonimami wiecznego spoczynku. Jeszcze w roku 1960—61 obecna ulica Chryzantem nosiła nazwę Alei Cmentarnej, co w mieszkających przy niej ludziach budziło nie najmilsze skojarzenia i stąd bardzo długie starania u władz, których ukoronowaniem była zmiana nazwy.

Pomysł zbudowania tu osiedla mieszkaniowego rodził się w pierwszych powojennych latach, wraz z piękną ideą przekształcenia całej północnej części Łodzi w sposób taki, by zapomniano o jej ubóstwie i brzydocie przed wojną. Powstała więc dzielnica Staromiejska, zarysowały się Bałuty III w pobliżu Bałuckiego Rynku, Bałuty I dalej, ku wschodowi, natomiast teren zamknięty od zachodu ulicą Obrońców Westerplatte, na wschodzie zaś wcinający się w dziedzictwo Jana Kantego Kozłowskiego nazwano Dołami, by dla celów administracyjno budowlanych jeszcze go pokrajać na mniejsze kawałki. Twórca urbanistycznych założeń tego osiedla, mgr Feliks Szabelski mówi, że teren aż się prosił o włączenie go do planów budownictwa mieszkaniowego. Pochylony ku południowi, chłonie słońce. Spośród zieleni drzew owocowych dość rzadko sterczały dachy niewielkich domów, wiele bezpańskich

Dalszy ciąg na str. 5

ze ŚWIATA

Negatywny dla de Gaulle'a wynik referendum, w rezultacie którego złożył on urząd prezydencki, był niemałym zaskoczeniem dla obserwatorów politycznych. Wiele tygodników zachodnich, nie przewidując takiej ewentualności, zmuszonych zostało w ostatniej chwili do wymiany całych stron. Wydawało się bowiem, że i tym razem dramatyczny apel 79-letniego generała odniesie skutek i małą ilością głosów przewagi odpowiedź „tak". Stało się inaczej i warto zastanowić się dlaczego?

Referendum, które zresztą nie dotyczyło najważniejszych dla państwa i jego polityki spraw, stało się w chwili, kiedy dotychczasowy prezydent związał z nim swe losy, prawdziwym plebiscytem, za de Gaulle'em, czy przeciwko niemu. Gdyby głównym motywem odpowiedzi miała być polityka zagraniczna — nie ulega wątpliwości, że generał otrzymałby wysokie poparcie. Jest przecież niezaprzeczalnym faktem, że w latach swej prezydentury uniezależnił politykę Francji od bloku atlantyckiego, zjednując jej licznych przyjaciół. Polityczny realizm generała powodował prawidłowe stanowisko niemal we wszystkich najważniejszych problemach współczesności, i granic w Europie, i wojny wietnamskiej, i izraelskiej agresji na kraje arabskie... Ta polityka, zmierzająca do zapewnienia pokoju i bezpieczeństwa w świecie, cieszyła się poparciem narodu francuskiego i nie ona stała się powodem przegranej.

Przyczyn tej ostatniej trzeba szukać w polityce wewnętrznej — w niezdolności rozstrzygnięcia nabrzmiałych problemów społeczno-ekonomicznych. W maju ub. roku odezwał się dla de Gaulle'a poważny dzwonek alarmowy. 10 mln ludzi wyszło na ulice, aby domagać się rozwiązania wielu wewnętrznych spraw. De Gaulle złożył wówczas obietnice, których, tak zresztą jak i poprzednich, nie dotrzymał. Nadużył więc zaufania ludzi pracy, stworzył podstawy do odpowiedzi w referendum: „nie".

Komentując wynik głosowania „Humanite" mogła więc napisać: „Najwyższy procent „nie" uzyskano bez żadnego wyjątku we wszystkich departamentach o składzie robotniczym i o znanej tradycji republikańskiej. Okręg Sekwany — Saint Denis, gdzie partia komunistyczna ma siedmiu spośród dziewięciu deputowanych i 25 spośród 34 radnych generalnych, ustanowił krajowy rekord głosów „nie". W tym departamencie żadna gmina nie zaakceptowała plebiscytu".

Odejście de Gaulle'a zamyka pewien historyczny okres Francji. Po 1 czerwca, na który to termin wyznaczono wybory prezydenckie, rozpocznie się okres nowy — postgaullistowski. Czy będzie on kontynuacją prezydentury generała, czy też nie — trudno przewidywać. Dotychczas zgłoszono oficjalnie pięć kandydatur na najwyższy urząd w państwie. Na liście znajdują się:

GEORGES POMPIDOU — do lipca ub. roku premier rządu. Dymisjonując go po wyborach parlamentarnych de Gaulle pisał w liście do niego, że kiedyś państwo powierzy mu wysokie stanowisko.

GASTON DEFFERRE — przywódca frakcji socjalistycznej w parlamencie, burmistrz Marsylii.

ALAIN SAVARY — nieznany szerzej w politycznym świecie, przywódca jednego z klubów.

HENRY BARRET — przedsiębiorca budowlany z Normandii.

MICHEL ROCARD — sekretarz generalny PSU, młodej partii, która z pewnością nie będzie w stanie zapewnić swemu kandydatowi pełniejszego poparcia.

Na powyższej liście nie ma jeszcze nazwiska kandydata lewicy oraz Lecanueta, który był rywalem de Gaulle'a w wyborach w 1965 roku, a także Pohera — przewodniczącego senatu, który w okresie interregnum pełni funkcję prezydenta, ponieważ de Gaulle, przegrywając referendum, nie zdążył tym samym wnieść zamierzonej zmiany do konstytucji, która by Pohera tego zastępstwa pozbawiła.

W rozważaniach prasy francuskiej najwięcej szans daje się obecnie Pompidou, który wokół siebie zwiera szeregi gaullistów i może — zdaniem komentatorów — skutecznie kontynuować koncepcje swego poprzednika. Uchodzi on za najbliższego współpracownika generała, co zresztą sam podtrzymuje przy wszystkich nadarzających się okazjach. „Zapewnienie ciągłości" oznaczałoby jednak niewprowadzenie żadnych zmian w polityce wewnętrznej przy równoczesnym zabieganiu o umocnienie stosunków ze Stanami Zjednoczonymi, zgodnie z jego dążeniami do odbudowy historycznego partnerstwa między tymi dwoma mocarstwami.

Wielka szansa w wyborach prezydenckich zarysowuje się przed lewicą, która — jeśli osiągnie porozumienie — może zapewnić skuteczne poparcie swemu kandydatowi. Przypomnijmy, że w poprzednich wyborach popierany przez całą lewicę Mitterrand wcale nie był daleki od zwycięstwa. Gdyby jednak nie udało się wystawić wspólnej kandydatury, Francuska Partia Komunistyczna z pewnością zgłosi swoją.

Obecnie we Francji trwa giełda kandydatów i nieoficjalnie wymienia się co najmniej 20 polityków, którzy mogą się ubiegać o fotel prezydencki.

Podstawowe pytanie, jakie przewija się we wszystkich spekulacjach, sprowadza się jednak do tego, czy uda się we Francji utrzymać gaullizm bez de Gaulle'a?

W. SŁAWSKI

ADAM NONAS

Co będziemy czytać w tym roku?

Właściwie należałoby powiedzieć co przeczytaliśmy i czego jeszcze oczekujemy od wydawców, gdyż minął już I kwartał 1969 r. Ale jak wiadomo plany wydawnicze mają tę właściwość, że ukazują się wówczas, kiedy powinien pojawiać się projekt na rok następny. Przyjrzyjmy się najpierw liczbom obrazującym produkcję wydawniczą roku ubiegłego w zestawieniu z planami na rok bieżący. Otóż w roku 1968 ukazało się 6900 tytułów w łącznym nakładzie 108 mln. egz., a największe natężenie przypadło tradycyjnie na grudzień, kiedy to otrzymaliśmy 493 tytuły w nakładzie 10 mln. egz. W roku bieżącym ukaże się 7000 tytułów, a więc niewiele więcej, za to poważnie wzrosną nakłady — do 122 mln. egz. Oczywiście dominującym akcentem w tegorocznej produkcji wydawniczej będą ważne dla naszego kraju rocznice, a przede wszystkim 25-lecie Polski Ludowej i 25 rocznica powstania warszawskiego oraz 30 rocznica Września. Takie rocznice skłaniają do wydawania pozycji bilansujących dorobek naszego ludowego państwa oraz wspomnień o tragicznych latach poprzedzających jego powstanie. Te zadania spełniać będą dzieła: „Dwadzieścia pięć lat gospodarki Polski Ludowej" pod red. K. Secomskiego oraz „25 lat PRL. Liczby i fakty". Ciekawie zapowiada się także praca „Społeczeństwo polskie w dwudziestopięcioleciu" pod red. W. Wesołowskiego, mająca zobrazować zmiany jakie zaszły w naszym narodzie pod wpływem przemian gospodarczych kraju.

W związku z 30 rocznicą Września wydana zostanie praca C. Madajczyka „Okupacja Polski przez III Rzeszę". Wyjdą też pierwsze tomy monumentalnej publikacji „Polski czyn zbrojny w II wojnie światowej", a także zbiór studiów J. Kirchmayera „Boje polskie w czasie II wojny".

Powstanie warszawskie ukazane zostanie w książce L. Bartelskiego „Mokotów 1944" a także we wspomnieniach: „Miałem 14 lat" J. Filipowicza i „Baszta moich wspomnień" T. Kubalskiego. Ciekawą pozycją będzie poradnik bibliograficzny W. Krzemińskiej „Powstanie warszawskie w książce, prasie i filmie". Tę tematykę uzupełni również kilka wznowień.

Wspomniałem na początku o poważnym ilościowym wzroście nakładów w br. Głównego „winowajcę" tego stanu rzeczy należy upatrywać w książce kieszonkowej, która zrobiła błyskawiczną karierę. Małe książeczki ukazują się w przeciętnym nakładzie 50 000—100 000 egz., „Lalka" i „W pustyni i w puszczy" osiągnęły nawet 200 000 nakładu. PIW planuje w tym roku wydanie 12 kieszonkowców — a wśród nich znów „Lalka" i „W pustyni i w puszczy" oraz Trylogia i „Chłopi", a więc nasza klasyka, obcą zaś reprezentować będą: „Pani Bovary", „Matka", „Anna Karenina", „Zbrodnia i kara", „Pożegnanie z bronią", „Colas Breugnon". Może nareszcie zaspokojony zostanie wieczny głód lektur, tym bardziej, że PIW zobowiązał się utrzymywać stale na rynku dzieła naszych klasyków. Inicjatywa godna jest ze wszech miar pochwał, oby tylko była konsekwentnie realizowana w praktyce. „Czytelnik" w swojej serii przewiduje dużo klasyki współczesnej. Seria zaczęła się od „Pana Tadeusza" i „Przedwiośnia", dalej ukazały się „Spiżowa brama" Brezy, „Pokolenie" Czeszki, „Mitologia" Parandowskiego, a w tym roku otrzymamy jeszcze „Gwiazdę zaranną" Dąbrowskiej, „Opowiadania" Iwaszkiewicza, „Kordiana i chama" Kruczkowskiego, „Pamiątkę z celulozy" Newerlego. Z literatury przekładowej wyjdą „Wichrowe wzgórza" Bronte, „Jenny" Caldwella, „Odyseja" Homera, „Matka i córka" Moravii.

Iskry — pionier naszych kieszonkowek — sięgają obecnie do eseistyki historycznej oraz publikacji o charakterze reportażowo-podróżniczym. Otrzymaliśmy już „7 polskich grzechów głównych" Załuskiego, „Koziełulskiego i innych" Brandysa, a ukażą się tego samego autora „Oficer największych nadziei" oraz „Paryskie ABC" Grodzickiego, „Gdy słońce było bogiem" Kosidowskiego, „Życie po amerykańsku" Pawlaka.

Pocket-books to jeszcze jedna odmiana ogromnie ostatnio rozpowszechnionego zjawiska — serii wydawniczych. Pojawiają się masowo na rynku księgarskim coraz to nowe serie i seryjki. Dla przykładu podam, że sama „Książka i Wiedza" wydaje 22 serie! Niedługo każda wychodząca z druku książka będzie należała do jakiejś serii. Nie oznacza to, że jestem przeciwnikiem serii, wręcz przeciwnie, uważam, iż najcenniejsze należy utrzymać i kontynuować, a także tworzyć nowe o równie dużej wartości, ale umiar we wszystkim jest jak najbardziej wskazany.

Do najbardziej wartościowych należy niewątpliwie czytelnikowska seria „Nike", pozwalająca skompletować zestaw najlepszych dzieł autorów współczesnej literatury światowej. W bieżącym roku ukaże się trzynaście nowych pozycji z tej serii. Podobny charakter mają dwie nowe serie — tak jak „Nike" błyskawicznie znikające z półek księgarskich — „Współczesna proza światowa", i „Biblioteka krytyki współczesnej". Pierwsza zaprezentuje w tym roku najlepsze utwory ostatnich lat literatury amerykańskiej, brazylijskiej, francuskiej, norweskiej, hiszpańskiej, japońskiej, niemieckiej, radzieckiej i innych. Druga, zainaugurowana dwoma znakomitymi pozycjami „Czym jest literatura" Sartre'a oraz „Teorią powieści" Lukacsa, preferuje wyraźnie esej. W bieżącym roku zapowiedziany jest tom szkiców o literaturze USA wybitnego współczesnego krytyka amerykańskiego M. Cowleya oraz R. Lagerantza „Z piekła do raju. O Dantem i „Boskiej komedii" i wybór prac krytycznych A. Sandauera „Liryka i logika".

Wymieniłem tu przykładowo kilka najwartościowszych moim zdaniem serii. Ale są także serie, których dalsze kontynuowanie wydaje mi się nieceloweo. Pierwsze miejsce na tej mało zaszczytnej liście przyznać należy ostawionemu „Ryzyku" — próbie polskiego komiksu. Liczni krytycy podkreślali już, że wydanie tak ubogiej zarówno pod względem treści jak i formy (fatalne kolory) pozycji, to prawdziwe ryzyko. W dodatku cena — 10 zł jest zdecydowanie za wysoka, winna być co najmniej o 50 proc. niższa. Wydawca — Sport i Turystyka — zareagował metodą klasycznego uniku, utrzymał na razie serię i cenę, natomiast... zmienił tytuł, na „Dziękuję ci kapitanie".

Do przedwojennej zeszytowej tradycji powieści co miesiąc nawiązały „Iskry" otwierając „Tajemniczą katarynką" B. Nawrockiej serię mającą większe ambicje niż poprzednia. Jak potoczą się jej losy pokażą dalsze miesiące, w każdym razie następne tytuły mrożą krew w żyłach, są to „Sztyletem w serce" K. Koźniewskiego i „Szkielet bez palców" J. Edigeya.

Przejdźmy teraz do encyklopedii i słowników. Wszelkie tego typu wydawnictwa cieszą się ogromnym powodzeniem, co jest wyrazem pędu do wiedzy naszego społeczeństwa, a więc jak najbardziej pozytywnego zjawiska. Ukazał się XI tom Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, a w planach tego roku jest XII tom oraz dwa wydania Małej Encyklopedii Powszechnej. Ukaże się także dziesiąty, jubileuszowy rocznik „Świat w przekroju" i piąte wydanie „Słownika historii Polski". Wyjdą również małe słowniki pisarzy polskich, anglosaskich i włoskich. Otrzymamy wznowienia „Małej Encyklopedii Technicznej" oraz encyklopedii „Przyroda i Technika". Z innych kompendiów na uwagę zasługują „Ilustrowana mała encyklopedia lotnicza dla wszystkich", „1000 słów o rakiecie i kosmosie", „Encyklopedia fizyki", „Mała encyklopedia logiki", „Encyklopedia tatrzańska", „Encyklopedia polskiego ruchu oporu", „Wybitni Polacy", „A-Z Milicji Obywatelskiej".

Ze słowników obcojęzycznych ukażą się „Wielki słownik niemiecko-polski" oraz kilka małych podręcznych słowników.

Interesujące nas najbardziej słowniki języka polskiego — są w tegorocznym planie bogato reprezentowane. Na przełomie 1968 i 1969 r. pojawiły się wznowienia „Słownika poprawnej polszczyzny" Szobera, „Słownika wyrazów bliskoznacznych" S. Skorupki oraz tego samego autora II tom „Słownika frazeologicznego języka polskiego", wreszcie X tom „Słownika języka polskiego" (w tym roku ukaże się jeszcze jako suplement tom XI) i „Mały słownik języka polskiego". Takiej słownikowej obfitości dawno nie było. Łódzki „Dom Książki" zrobił wszystko co było w jego mocy, abyśmy z tej okazji w pełni skorzystali i samego tylko „Małego słownika j. polskiego" sprowadził 12 tys. W tej chwili jest jeszcze w księgarniach, ale czy starczy na długo? Podobna sytuacja jest ze „Słownikiem wyrazów obcych i zwrotów obcojęzycznych" W. Kopalińskiego, którego kolejne wydanie na razie zaspokaja potrzeby łodzian, lecz w księgarniach pozostało już niewiele egzemplarzy.

Na deser zostawiłem najbliższe nam zamierzenia Wydawnictwa Łódzkiego. Nasza oficyna od 1957 r. do 1968 r. wydała 499 tytułów, w tym 312 autorów łódzkich, w łącznym nakładzie 3.300 tys. egz. W tym roku plan zakłada wydanie 88 tytułów, z czego 54 pozycje łodzian, w nakładzie 650 tys. egz. Plan stara się uwzględnić wszystko, co dotyczy naszego miasta i Ziemi Łódzkiej. Są więc naukowe i popularnonaukowe prace przypominające szczytne tradycje walk o wolność naszego regionu.

Jeśli chodzi o prozę, to obok dwóch dalszych powieści Dumasa, chętnie wydawanego przez nasze Wydawnictwo, ukażą się nowe pozycje znanych łódzkich pisarzy M. Piechala, T. Papiera i A. Ostoi, a także wybór felietonów W. Krzemińskiego drukowanych w „Odgłosach". Pasjonującą lekturą winny być „Wspomnienia PPR-owców", „Wspomnienia milicjantów" i „Pamiętnik nauczyciela" A. Kowalskiego. W bieżącym roku ukaże się ostatni już, IV tom, jednej z najbardziej udanych pozycji Wydawnictwa Łódzkiego — „Ksiąg humoru polskiego", zatytułowany „Od Kasprowicza do Tuwima". Szczególnej uwadze łodzian chciałbym polecić wreszcie „Śpiewnik patriotyczny" T. Szewery oraz dwie publikacje poświęcone naszej kochanej „Pietrynie" — A. Rynkowskiej „Ulica Piotrkowska" i o tym samym tytule album W. Kondka, zawierający 70 plansz ukazujących zabytkowe gmachy i kamienice naszej magistrali. Ostatnią pozycją planu wydawniczego WŁ jest album fotograficzny „Łódź", ukazujący dzisiejsze oblicze naszego miasta, jakże potrzebny.

Jak więc wynika z powyższego plan naszego Wydawnictwa jest bardzo interesujący. W myśl zasady „tak krawiec kraje jak materii staje" starał się nie pominąć niczego istotnego. Oby nas ominęły trudności z papierem i jak najmniej pozycji musiało przejść „poślizgiem" na rok następny. Ten wniosek można odnieść i do pozostałych oficyn, a wtedy rok 25-lecia PRL pozostanie nam w pamięci jako „tłusty" rok wydawców

ŁODZIANIE W KARYKATURZE

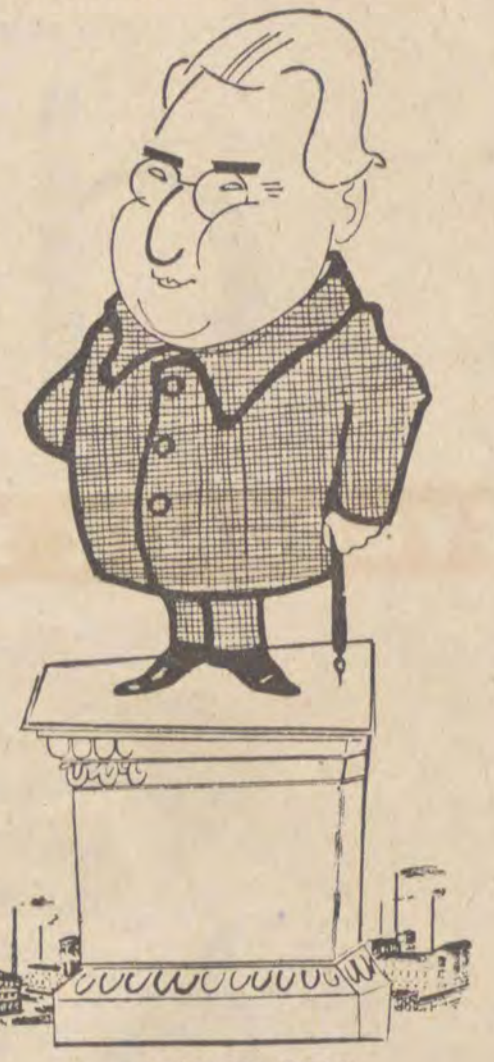

MARIAN PIECHAL
poeta-tłumacz-redaktor
Rys. Ibis-Gratkowski

BERŁO w worku

Dalszy ciąg ze str. 1

karski zagrzewa się do niedzielnego meczu, a bokserzy (mistrza Polski mamy, panie) ćwiczą w hali. W osiedlu „Awaryjnym" (rozległa kolonia bloków i jednopiętrowych willowych domków) żony górników czekają z obiadem (mięso jest, ale po włoszczyznę trzeba jeździć do Wrocławia) dzieciaki wracają ze szkół i prywatne wozy sztygarów warczą pod oknami. Do klubu Elektrowni, „Kon-Tiki", nadszedł akurat transport koniaków (jakże lubię to spokojne, wiejskie życie), a do górniczego klubu „Gong" przywieźli parę skrzynek czerwonej prostuchy. Na pierwszym piętrze hotelu „Barburka" idący do pracy lekarz minął się w drzwiach z wracającym z roboty dyrektorem pewnego przedsiębiorstwa. Raz, dwa, trzy — maszeruje wojsko. Z półotwartych okien zerkają dziewczyny.

Ziemia oddycha, tętni, obrasta w szkoły, sklepy, szpitale, no i przemysł, który wyznacza jej rangę.

Dwanaście lat temu na tej ziemi nie było nic. — Jedna uliczka w Zgorzelcu, kilkadziesiąt żółtych, opustoszałych domków w Bogatyni, kilka kościołów w okolicznych wioskach i wychudłe bydło na polach.

Niektórzy zaczynają historię tej ziemi od roku 1642, w którym, jak podają kroniki, piorun trzasnął w brunatną dolinę i odbył się pożar trwający dwa lata na zewnątrz i kilkadziesiąt lat wewnątrz złoża.

Niektórzy walą od razu w dzwon współczesności: rok 1958; z początkiem stycznia zjeżdża na tereny przyszłego kombinatu pionierska brygada; remontują hotele i domy, stawiają baraki; śpiew ochrypły niesie się po nocach, bulgoce gorzała, błyszczą krwawo kosy, noże i widelce, królowie turoszowskich zmierzchów biorą się za łby.

O Turoszowie i Worku Żytawskim jest już parę książek i parędziesiąt reportaży. Wszystko zostało opisane. Ale ocalało jeszcze kilka nietkniętych biografii, z których można złożyć historię tej ziemi. Na przykład Władysław Witek. Dobierało się do niego wielu reporterów. Bezskutecznie. Robił uniki i fama szła po zakładzie, że nie cierpi prasy. Poszedłem więc do niego w sobotę rano i zażyłem go nie wprost:

— Podobno nienawidzi pan gazeciarzy i tych różnych z kamerami i mikrofonami?

— Co, nienawidzę?! — oburzył się Witek. — Złośliwa plotka!

I otworzył przede mną duszę.

2.

Był ósmym Polakiem w wyzwolonym Turowie i pierwszym Polakiem w kopalni, gdzie wówczas pracowali jeszcze Niemcy.

Ściągnął tu w końcu lipca czterdziestego siódmego. Ale żeby zrozumieć jego życie, trzeba zawrócić czas.

Urodził się w Sierszy pod Krakowem w 1923 roku. Rodzina, z dziada pradziada — górnicy. Ojciec i starszy brat rąbali na przodku w sierszańskiej kopalni, on najpierw chodził do podstawówki — potem, za drugim podejściem, przeskoczył progi Państwowej Szkoły Przemysłowej w Krakowie, której nie ukończył, gdyż wybuchła wojna. Pracował wraz z ojcem i bratem w trzebińskiej kopalni „Zbyszek". Ojciec był najpierw w PPS i organizował strajki, a potem w PPR, do której wciągnął obu synów. Jedenastego stycznia czterdziestego trzeciego była na tym terenie wielka wsypa. Niemcy rozstrzelali na miejscu kilkudziesięciu peperowców, resztę porozsyłali do obozów koncentracyjnych. Ojciec i brat poszli do Oświęcimia — on do Mysłowic. Brata wykończyli. Ojciec został przeniesiony do Mauthausen. On do Gross Rosen, stamtąd do Buchenwaldu, wreszcie do Dachau. Oswobodzony w czterdziestym piątym („sam nie wiem, jak przeleciałem przez wszystkie te ruszty") powrócił do Sierszy, żeby fedrować w kopalni swoich dziadów i pradziadów. Był dobry. Bystry, odważny, robotny. Zaangażowany ideowo. Został wysłany na skrócony kurs do Technikum Górniczego w Bytomiu, które zasłynęło mianem „czerwonej szkoły". Po dyplomie otrzymał skierowanie do Turowa. Człowiek, któremu leżą na wątrobie losy kraju, nie może grymasić.

Więc, jak pisałem, w lipcu czterdziestego siódmego ściągnął tu z niewielkim zawiniątkiem na plecach i był pierwszym Polakiem, któremu wojska radzieckie przekazały symbolicznie władzę nad kopalnią.

Wcześniej jeszcze od Witka, w połowie września czterdziestego szóstego, zajechał do Turowa Konrad Dusza, dzisiejszy sekretarz ZBOWiD-u. Biografia Duszy, to także wielka górnicza epopeja. Od kilku pokoleń jego familianci fedrowali w przeróżnych kopalniach Śląska. Dziad walczył w powstaniu styczniowym, ojciec, zaprzysięgły komunista, miał bez przerwy na pieńku z policją, on sam, harując na przodku w gliwickiej kopalni, należał do PPS, a w 1920 roku wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej i brał udział z bronią w ręku we wszystkich trzech powstaniach śląskich. Ranny pod górą Świętej Anny leżał w szpitalach Częstochowy i Ostrowia Wielkopolskiego, skąd zbiegł do Zamościa, przedarł się na Śląsk i pracował w Knurowie, bo w Gliwicach basowali Niemcy. W trzydziestym dziewiątym został powołany przez władze wojskowe do sformowania kompanii powstańców: bronił zachodnich granic, atakowanych przez uzbrojone bandy niemieckich cywilów. Pierwszego września kompania Duszy wycofała się do Wyr i została rozbita w rybnickich lasach. Krył się długimi miesiącami w stogach siana i na strychach rozstrzelanych domów, ale w maju roku czterdziestego Gestapo wpadło na trop. Skatowany. Wywieziony do Dachau. Oswobodzony w obozie Revensbrueck. Wrócił na Górny Śląsk i pracował w kopalni jako kierownik obozu jeńców wojennych. Robotny, ambitny, odważny. Takich jak on potrzeba było w pogranicznym, niespokojnym Turowie.

Więc zajechał tu z rodziną i kiedy w rok później spotkał się z Władysławem Witkiem, to podali sobie twarde, spracowane ręce.

Witek rozpoczął turowską karierę jako sztygar oddziału urobku węgla na niewielkiej, zaniedbanej odkrywce.

Dusza wystartował jako komendant straży przemysłowej.

Kiedy Witek awansował na sztygara objazdowego, Dusza został kierownikiem oddziału zbierania nakładu.

Witek przebił kartę i zajął stanowisko kierownika robót górniczych. Ale zaraz potem Dusza wskoczył na pulpit głównego dyspozytora ruchu.

W połowie lat pięćdziesiątych niektórzy przypuszczali, że Witek na zawsze zerwał z Turowem. Odwołano go do Konina, gdzie został zresztą naczelnym inżynierem. A przecież wrócił, kiedy to w roku 1960 powstawała druga, nowoczesna odkrywka węgla brunatnego i szły wykopy pod budowę elektrowni.

Był teraz zawiadowcą kopalni.

Natomiast starszy od niego o dwadzieścia dwa lata Konrad Dusza, który na dobrą sprawę nigdy z przyjacielem nie rywalizował (to tylko taki reporterski chwyt) — przeszedł z dniem pierwszego maja 1966 r. na emeryturę. Ale w kopalni pozostał. Pracował społecznie jako sekretarz ZBOWiD-u, którego Witek jest przewodniczącym. Każdego dnia można było znaleźć Duszę nad stertą papierów w gabinecie „Pentagonu" (dwa budynki, niski i wysoki, jeden się „pęta" za drugim, a mieści się tu administracja). Spotkać go można i dzisiaj, choć niedawno trafił go na schodach zawał serca.

Leżałem w szpitalu zatońskim — wspomina Dusza — ale Witek zorganizował na wszelki wypadek samolot do Wrocławia, który czekał na grających silnikach, żeby mnie, no... gdyby było krucho, przetransportować do kliniki kardiologicznej. A jak wydobrzałem, to Witek rozkazał mi się przenieść do nowego mieszkania w Zgorzelcu. Zgorzelec jest piękny. Lecz z początku żałowałem Turowa. Trzeba wiedzieć, że Turów się bardzo zmienił. Jak przyjeżdżali tu ze Śląska i Kamiennej Góry moi trzej synowie, też górnicy, z dyplomami techników, to nie mogli do mnie trafić, choć kiedyś tu mieszkali. Nowe drogi, inwestycje, wyrobiska i hałdy, całkiem zmienione koryto rzeki... Lecz klimat tu niezdrowy. Pył, sadza, popiół. I nieprzerwany szum taśmociągów, od którego nieraz w mieszkaniu pękają lustra i szklanki. No i nerwy, a ja nie śmiem się denerwować, bo gdyby jeszcze raz, to lekarz powiedział, że kropka...

Kim był w owym czasie Witek, skoro miał prawo „wypożyczać" dla chorych przyjaciół samoloty i zamieniać im mieszkania?

Latem 1966 roku mianowany został naczelnym dyrektorem kopalni.

SZP. — 3

Jak to się stało?

Witek wzrusza ramionami.

Ale załoga wie. Załoga się nie dziwi. Załoga się cieszy. Załoga, ponad sześć tysięcy ludzi, pójdzie za Witkiem, jakkolwiek zabrzmi to banalnie — w ogień. Pół załogi chodzi po mieście i twierdzi, że jest z Witkiem na „ty". Tak naprawdę, to on im mówi po imieniu, a oni jemu: panie dyrektorze. Ale to nie ma większego znaczenia. Ważne, że darzą go zaufaniem, którego on nie nadużywa. Nie zadziera nosa. Nie wstydzi się wspominać dni, kiedy biegał po kopalni na bosaka. Ani kiedy tłukł się po górniczych hotelach. W sześćdziesiątym siódmym, będąc już naczelnym dyrektorem, wciąż pędził żywot rajzera. Powiada:

— Moi sztygarzy, inżynierowie i robotnicy od dawna gospodarzyli w wygodnych domach, a ja nie miałem czasu pomyśleć o mieszkaniu, dojeżdżałem do roboty z hotelu w Opolnie, a zajmowaliśmy tam wraz z żoną i dwoma synami-huncwotami półtora pokoju. Stara robiła mi awantury: „Jak długo ty mnie, Witek, będziesz włóczył po tych dziurach". Więc mieszkamy teraz przyzwoicie, w Zgorzelcu. Ale w hotelach nie było źle. Kułem tam nocami, po robocie, do egzaminów, bo studiowałem zaocznie w AGH. Dyplom inżyniera zdobyłem w pięćdziesiątym szóstym, ale magistrem zostałem dopiero dwa lata temu. Cholerna mordęga.

Twardy człowiek z tego Witka. Przeszedł przez wszystkie szczeble w hierarchii górniczej. Doczekał się zaszczytów. Otrzymał dużo odznaczeń. Ale kontaktu z robotnikiem nie zatracił.

— Jeśli robociarz o coś prosi, to trzeba go uważnie wysłuchać — powiada — i szybko mu pomóc. Jeśli coś przeskrobie — trzeba go szybko i rzetelnie opieprzyć. Jeśli dzieje mu się krzywda — trzeba dać po krzyżu winnym. Ot, i wszystko gra.

Krążą o nim różne anegdoty:

Odwiedził drugą odkrywkę wiceminister górnictwa. Przyglądał się nowej koparce. Strzelił nagle:

„Ile ona ma silników?"

Inżynier nie wiedział.

Wezwano głównego mechanika.

Też nie wiedział.

Więc minister:

„Słuchajcie no, Witek, ile ta koparka ma silników?"

„Sześćdziesiąt siedem" — powiedział Witek bez wahania. I chytrze się uśmiechnął. Minister pokiwał głową i także się uśmiechnął, bo nie za bardzo Witkowi uwierzył.

Kiedy w sobotę o czternastej żegnałem się z dyrektorem Witkiem, powiedział:

— Tu na kopalni i w elektrowni prawie każdy człowiek ma piękną i znojną przeszłość. Wielu robotników i chłopów dopracowało się wysokich stanowisk. Ich awans i mój awans są najwierniejszym odzwierciedleniem zmian, jakie w ciągu krótkiego czasu zaistniały na tej, jakże polskiej ziemi.

Kiedyś był tu jeno plac pod wyrobisko — teraz jest tu największa i najnowocześniejsza kopalnia węgla brunatnego w Polsce (pięćdziesiąt pięć procent produkcji krajowej). Kiedyś była tu elektrownia wodna o mocy jednego megawata — teraz jest tu największa elektrownia w kraju o mocy tysiąca czterystu megawatów (w planach — dwa tysiące megawatów). Kiedyś była tu wielka improwizacja i wielka przygoda — a teraz?...

— Niektórzy opuszczają Turoszów — mówi Witek. — To ci wieczni, nałogowi rajzerzy, obijający się latami po hotelach, bez żon, bez dzieci, bez pieniędzy w piąty dzień po wypłacie, choć zarobki są bardzo wysokie. Jadą do Konina, w Bieszczady — z nadzieją, że uda się jeszcze znaleźć gdzieś skrawek ziemi nie dotkniętej stabilizacją i cywilizacją. Oni pięknie tu pracowali. Nie żałowali rąk i zdrowia. Ale co zrobić, kiedy mają te cholerne cygańskie natury, dla których w dzisiejszym Worku Żytawskim nie znajdziesz już przystani.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

Z wolaja

Nowe oblicze starego wyścigu

Barwna grupa kolarzy „połyka" kilometr za kilometrem. Ich drogę rejestrują kamery telewizyjne, każdy objaw kryzysu notuje kilkudziesięciu dziennikarzy, a wysiłek śledzą z zapartym oddechem miliony kibiców. Tak jest każdej wiosny począwszy od 1948 r. i tak będzie od 12 maja br. kiedy to wystartuje z Warszawy XXII Wyścig Pokoju. Nie ma chyba w naszym kraju drugiej imprezy, która by tak masowo propagowała w społeczeństwie daną dyscyplinę sportu. Wyścigiem Pokoju interesują się i kibice sportowi i ludzie, którzy właściwie nigdy ze sportem nie mieli nic wspólnego. Jeszcze do tej pory pewna moja znajoma starsza pani, ze łzą w oku wspomina Elka Grabowskiego, bo „taki mały, nie miał siły, a kazali mu jechać" i wydaje ujemne oceny naszym reprezentantom, że „kudy im tam" do Królaka.

A pamiętacie Hindusów, o których krążyło masę anegdot; że zatrzymują się przed kioskami z napojami chłodzącymi, że o określonej godzinie schodzą z rowerów i odprawiają rytualne obrzędy? Troszkę prawdy w tych anegdotach było. Jednak nie Hindusi byli najwolniejszym zespołem w historii Wyścigu Pokoju. Rekord pobili tutaj w 1956 r. Egipcjanie. Na mecie od zwycięskiej drużyny ZSRR dzieliło ich.. 32 godziny 41 minut i 43 sekundy. W roku tym zresztą padł rekord frekwencji — w Wyścigu uczestniczyły 24 drużyny. No i oczywiście, fakt najważniejszy. Pierwszy i jak dotąd jedyny Polak Stanisław Królak wygrał indywidualnie Wyścig Pokoju i tym samym wpisał się na listę najlepszych kolarzy amatorów świata. Drużynowo wygraliśmy trzy razy.

Wielu wielkich kolarzy startowało w Wyścigu Pokoju. Wymieńmy tutaj chociażby Gusta wa Adolfa Schura, dwukrotnego mistrza amatorskiego świata, brązowego (Melbourne) i srebrnego (Rzym) medalistę olimpijskiego. Popularny „Taeve" 12 razy startował w tej imprezie, którą wygrał 2 razy — w 1955 i 1959 r. Byli i tacy, którzy nie wygrali Wyścigu Pokoju, ale dał on im ten pierwszy, najważniejszy start w życiu. Takim był Jan Stabliński, Polak z Francji. Jako nieznany kolarz wystartował w 1952 r., wygrał kilka etapów i zajął ostatecznie czwarte miejsce. Dalej jego kariera potoczyła się błyskawicznie. Został zawodowym mistrzem świata, dwa razy zawodowym mistrzem Francji, wygrał wyścig dookoła Hiszpanii. Nazwisk takich można wymieniać wiele: Proost, Vesely,, Ruziczka, Guyot, Smolik i inni.

Byli także mniej znani, którzy również zapisali się w historii Wyścigu Pokoju. Np. Czechosłowak Krejczu był autorem ciekawego rekordu ustanowionego na etapie Gottwaldowo — Zilina k 1949 r. Oderwał się on samotnie od grupy i na metę wpadł o 6,59 sekundy wcześniej niż drugi — Jugosłowianin Prodeski.

Klasyfikacja indywidualna Wyścigu z reguły bardziej ciekawiła kibiców niż drużynowa. Ile to razy denerwowaliśmy się, kiedy wysoko notowany w tabeli klasyfikacji indywidualnej kolarz musiał w drugiej grupie powstrzymywać pościg, podczas gdy w czołówce jechał inny, nie posiadający szans w tej klasyfikacji. Poświęcenie i ofiary w tym par excellence indywidualnym sporcie są rzeczą piękną, ale ich częste praktykowanie wypacza sportowy charakter walki.

Na szczęście, głosy opinii publicznej na ten temat wywołały wreszcie właściwy oddźwięk i już w tym roku Wyścig Warszawa — Berlin rozegrany zostanie według nowego, bardzo ciekawego regulaminu. Otóż miejsce 7-osobowej drużyny ustalać się będzie na podstawie czasów nie trzech najlepszych na mecie etapu, lecz czterech znajdujących się najwyżej w klasyfikacji łącznej po każdym etapie. Zmieni to zdecydowanie dotychczasowy sposób rozgrywania Wyścigu. Wyraźnie wzrośnie rola indywidualnych wartości każdego kolarza i wszystko to wpłynie na uatrakcyjnienie tego wielkiego wyścigu.

MIECZYSŁAW STOLARSKI

FELIKS BĄBOL

Niezapomniany rok trzydziesty szósty

Z początkiem roku 1936 KPP, klasowe związki zawodowe, lewica PPS-owska organizowały klasę robotniczą Łodzi, uświadamiały ją o celach walki, o niebezpieczeństwach grożących ojczyźnie ze strony coraz bardziej bezczelnego faszyzmu. Chodziło już wtedy nie tylko o obronę interesów ekonomicznych ludzi pracy, o strategię i taktykę bojów klasowych z kapitałem, ale i o ukazanie celów polityczno - społecznych narastającego konfliktu. Rządowa, oficjalna racja stanu w Polsce tego okresu jawnie lekceważyła groźbę hitleryzmu, który już trzy lata był przy władzy, lekceważyła niebezpieczeństwa wypływające z tolerowania hurra—nacjonalistycznych i szowinistycznych tendencji pewnych ugrupowań w naszym kraju. Działo się to wszystko na tle pogłębiającej się nędzy klasy robotniczej. Jak podaje Kazimierz Wasilewski — w latach 1936—37 pracowało w Łodzi zaledwie 30 proc. ogółu ludności, wliczając w to także robotników zatrudnionych po dwa—trzy dni w tygodniu.

Bezrobocie, nie znikające nawet w okresach najlepszej koniunktury, obejmowało w 1936 r. według szacunkowych obliczeń około 50 tys. robotników i pracowników umysłowych. Oficjalne publikacje z tego okresu podają liczbę 74 tys. osób, która odnosiła się do terenu Łodzi i województwa, obejmowała jednak tylko zarejestrowanych w urzędach pośrednictwa pracy. Z tak dużego ośrodka przemysłowego jak Łódź około dwóch tysięcy robotników emigrowało corocznie w poszukiwaniu chleba do innych krajów.

* * *

W tym samym czasie Łódź bije rekordy ogólnopolskie w dziedzinie nędzy mieszkaniowej. Mieszkań 1-izbowych było w mieście aż 60 proc., a ich zagęszczenie wynosiło 3,80 osób na 1 izbę. Wielka jest umieralność niemowląt (18 zgonów na 100 żywo urodzonych). Istniała Ubezpieczalnia Społeczna, ale w praktyce tylko około 45 proc. ludzi zamieszkałych na terenie jej działania miało prawo do opieki lekarskiej z tytułu ubezpieczenia. W całej Łodzi istniały tylko dwa żłobki, a w przedszkolach nie było opieki lekarskiej.

Szeroki więc musiał być w owym 1936 r. program ożywienia gospodarki w mieście, olbrzymie były potrzeby socjalne i bytowe podstawowej części społeczeństwa — łódzkich robotników. Ten program — wraz z hasłami obejmującymi postulaty polityczne i ogólno-społeczne — wypisany był na sztandarach łódzkiej lewicy.

* * *

Pierwszym wyraźnym dowodem działania jednolitego frontu stało się w 1936 r. zwycięstwo łódzkiego proletariatu w powszechnym strajku marcowym. Jego wyrazem była również potężna, wspólna manifestacja 1-majowa tegoż roku. Ludzie pamiętający ten okres, wspominają, że nawet policja (granatowa i tajna) dla której pochody 1-majowe były zawsze okazją do brutalnych ekscesów, aresztowań i starć z demonstrującymi robotnikami — nawet policja przycichła teraz. Otrzymała ona podobno w przeddzień majowego święta specjalną instrukcję, aby zachować spokój na ulicach. Tak ogromne było wrażenie rosnącej solidarności ruchu robotniczego w Łodzi i jednolitego działania całej lewicy społecznej w mieście.

Trzeba stwierdzić, że wybory do Rady Miejskiej rozpisane przez ministra spraw wewnętrznych latem i wyznaczone na 27 września, stały się dla kierownictwa KPP od samego początku niezwykle ważnym wydarzeniem politycznym. Według materiału zawartego w sprawozdaniu Sekretariatu Krajowego KC KPP z 12 czerwca 1936 r. — należało zrobić wszystko dla zmontowania nie tylko jednolitego frontu lewicowych ugrupowań, ale i dla wciągnięcia do bloku wszystkich organizacji i związków robotniczych (w tym również Narodowej Partii Robotniczej, Chrześcijańskiej Demokracji itp.). Chodziło o stworzenie szerokiego demokratycznego Frontu Ludowego — po to, by wyizolować sanację i osłabić wpływy endecji.

* * *

W rezultacie pertraktacji międzypartyjnych, utworzono w Łodzi 18-osobowy komitet wyborczy, do którego weszło 9 przedstawicieli PPS oraz 9 — klasowych związków zawodowych (wśród nich było 5 reprezentantów KPP). Jako nielegalna KPP nie mogła bowiem występować jawnie w wyborach. Jednym z dwóch wiceprzewodniczących Komitetu był z ramienia KPP Mieczysław Zdziechowski, aktywny działacz lewicowy, komunista, wybitny przedstawiciel klasowego związku włókniarzy. Skonkretyzowały się też cele walki wyborczej.

W jednej z odezw zwracano uwagę, że wybory samorządowe to tylko fragment walki, tylko etap w walce o zdobycie władzy i przebudowę ustroju społecznego. Podkreślano też solidarność dążeń robotniczych w różnych krajach, zwłaszcza solidarność z walczącymi robotnikami Hiszpanii.

O zaciętości walki przedwyborczej mówił wysłannik „Warszawskiego Dziennika Narodowego" w korespondencji z Łodzi: „Wracam z frontu. Bo front wyborczy w Łodzi nie był (i nie jest) tylko frontem w znaczeniu przenośnym, ale był (i jest) frontem walki. Walki, w której się nawet leje krew...". Miał na myśli zacięte starcia bojówek endeckich z milicją socjalistyczną. Endecja bowiem — w wytworzonej przez jednolity front demokratyczny PPS, KPP i Klasowych Związków Zawodowych sytuacji — poczuła się śmiertelnie zagrożona. Wyczuwała zbliżającą się nieuchronnie klęskę w dniu wyborów. Podobnie poczuła się zepchnięta na margines polityczny cała łódzka sanacja. Dochodziło więc do starć i mało wybrednych aktów.

Sanacja robiła co mogła, by w maksymalnym stopniu krzyżować szyki lewicy społecznej, osłabiać jednolity front. Chwyciła się nawet w przededniu wyborów reżyserii procesu politycznego. Sfabrykowała oskarżenie przeciwko czołowemu przedstawicielowi lewicy — Zdziechowskiemu. Akt oskarżenia zarzucał mu m.in. realizowanie w związkach zawodowych linii politycznej KPP. Ten proces i skazanie Zdziechowskiego miały być zdaniem sanacji największym ciosem w lewicę, tym bardziej, że Zdziechowski przewidywany był na stanowisko jednego z wiceprezydentów Łodzi.

* * *

Okręgów wyborczych było dziesięć, a obwodów do głosowania 203. Na kilka dni przed 27 września przewodniczący głównej komisji wyborczej, wiceprezes Sądu Okręgowego w Łodzi Otton Vecsile zarządził... przeegzaminowanie kandydatów na radnych i to — z języka polskiego. Większość kandydatów odmówiła stawienia się na egzamin uważając to za szykanę. Był on zresztą fikcją — chodziło przecież, żeby poszczególne ugrupowania nie zdążyły na parę dni przed wyborami z wystawieniem i zatwierdzeniem nowych kandydatur na radnych.

27 września frekwencja przy urnach była bardzo duża. Oddano 256.218 ważnych głosów, czyli 74,4 proc. uprawnionych) w wyborach sejmowych 1935 roku wzięło udział tylko 107 tys. łodzian — tak głęboka była pogarda dla konstytucji kwietniowej). Na ulicach pełno było patroli policyjnych i posterunków, oddziałów konnych, po mieście krążyły umundurowane grupy „Strzelca", liczne bojówki endeckie.

Wieczorem było już wiadomo kto wygrał wybory. Na podstawie napływających meldunków z poszczególnych obwodów rosła pewność, że wybory są wielkim zwycięstwem lewicy. Na 72 mandaty największą ich liczbę uzyskała lista nr 2 — czyli oficjalnie PPS i klasowych związków zawodowych, a więc wspólna lista jednolitego frontu łódzkiej lewicy społecznej i KPP. Ogółem lewica w porównaniu z wyborami 1934 r. (które zakończyły się w Łodzi zwycięstwem obozu narodowego) zwiększyła swe wpływy o 69.931 głosów czyli o 144 proc. osiągając łącznie 118 tys. głosów — gdy w 1934 r. zdobyła jedynie 48.709 głosów Łódzka prawica straciła aż 42,5 tys. głosów, a sanacja wyszła z wyborów zdruzgotana.

* * *

Czerwona Rada Miejska działała tylko kilka miesięcy (do kwietnia 1937 r.). Zbyt była niewygodna rządowi w tym układzie politycznym jaki stworzony został przez wyniki wyborów z 27 września. Łódź, jako drugie w Polsce miasto, wielki ośrodek przemysłowy, stawała się po wrześniowych wyborach groźną beczką prochu. Ugrupowania, które wybory przegrały (prawica i sanacja) czyniły wszystko, aby skompromitować nową większość w łódzkim samorządzie, prowokowały aby tylko stworzyć w Warszawie wrażenie, że czerwona Rada Miejska nie jest zdolna do konstruktywnej pracy. I stało się tak, że zanim tymczasowy prezydent miasta Łodzi Mikołaj Godlewski mógł przekazać władzę nowemu prezydentowi lewicy Norbertowi Barlickiemu — minister spraw wewnętrznych podpisał dekret o rozwiązaniu dopiero co wybranej Rady. W sali przy ul. Pomorskiej 16 (dzisiejsza Nowotki) stale dochodziło do rękoczynów i starć, do ciągłych interwencji przybocznej straży magistrackiej. Radni socjalistyczni raz po raz musieli otaczać zwartym kołem przemawiających towarzyszy by ich uchronić przed wściekłymi atakami endeków.

Gdy wybrano Barlickiego, trzeba było jeszcze czekać na zatwierdzenie wyboru przez MSW. Czas oczekiwania wykorzystano najzłośliwiej w obozie sanacyjnym. „Gazeta Polska" np. atakowała wszelkie uchwały w dziedzinie opieki społecznej i gospodarki komunalnej, pisząc, że „program działania czerwonej Rady Miejskiej w Łodzi to istna demagogia". Na trzecim posiedzeniu Rady (19 stycznia 1937 r.) tymczasowy prezydent Godlewski postawił na porządku dziennym sprawę uchwalenia budżetu miejskiego. W imieniu klubu socjalistycznego sprzeciwił się temu Edmund Chodyński: — Jakże to, mamy uchwalać budżet a tu jeszcze prezydium Rady Miejskiej nie jest zatwierdzone przez władze. Sytuację w Radzie Miejskiej oceniły również władze łódzkiej KPP:

„Rząd prowadzi znowu politykę zwlekania i sabotowania. Szuka ona sposobności rozwiązania Rady. W sukurs przychodzą mu endecy. Oni urządzają burdy, a prezydent spieszy z rozwiązaniem posiedzeń. Gra jest jasna. Chodzi o wykazanie niezdolności Rady do twórczej pracy, chodzi o rozczarowanie samych robotników do tej Rady".

18 lutego PAT doniosła o niezatwierdzeniu Barlickiego przez ministra spraw wewnętrznych. 25 lutego na kolejnym posiedzeniu Rady Miejskiej ponownie wysunięto kandydaturę Barlickiego. 3 marca ministerstwo spraw wewnętrznych ostrzega Radę, oskarżając ją, że toleruje wystąpienia, które „uwłaczają powadze i obniżają zaufanie jakim powinny się cieszyć organa administracji publicznej". Wzywa pod rygorem art. 69 ustawy o samorządach do zmiany postępowania. 11 marca — ponowna odmowa zatwierdzenia Barlickiego na stanowisku prezydenta i... mianowanie Godlewskiego ponownie tymczasowym prezydentem m. Łodzi. 30 marca minister spraw wewnętrznych podpisuje dekret o rozwiązaniu łódzkiej Rady Miejskiej.

W obronie swej Rady Miejskiej wystąpili łódzcy robotnicy. 9 marca wybuchł w Łodzi strajk protestacyjny. Przerwało pracę blisko 80 tys. robotników.

W związku ze strajkiem KPP pisała, że jest to odpowiedź łódzkiego proletariatu na faszystowskie napędzanie do Obozu Zdrady Narodowej (ironiczny kalambur utworzony z Obozu Zjednoczenia Narodowego czyli Ozonu). Strajk łódzki jest ogniwem w walce sił demokratycznych przeciwko dyktaturze sanacyjnej, jest świadectwem, że jedność sił ludowych wbrew represjom i próbom rozbicia rośnie i krzepnie w walce.

I to proletariackie świadectwo weszło na zawsze do wspaniałych tradycji łódzkiego ruchu robotniczego.

ANDRZEJ FELIKS GRABSKI

REFLEKSJE O POLSKIM PARLAMENTARYZMIE (2)

SEJMOWANIE POLSKIE

Miało być przecież o parlamentaryźmie dawnej Rzeczypospolitej... Prawda, lecz mają to być refleksje, myśli i spostrzeżenia, a nie systematyczny wykład historyczny taki, jaki można znaleźć w każdym obszerniejszym podręczniku. Nie chodzi nam o nic innego, jak tylko **o ogólny pogląd na parlamentaryzm dawnej Rzeczypospolitej**, pogląd, który jest wszak warunkowany przyjęciem takiej bądź innej **ogólniejszej koncepcji dziejów narodowych.** W sprawie oceny polskiego Sejmu nie było bowiem wśród historyków zgody.

Jeszcze w czasach stanisławowskich, kiedy „zwracali się do dziejów wszyscy biorący udział w sprawach politycznych i w arsenale ich dobierali broni stosownej do swych widoków" oceny parlamentaryzmu szlacheckiego były nad wyraz sprzeczne. Kiedy z jednej strony obrońca starego porządku M. Wielhorski już w najdawniejszych czasach widział szlachecki rząd republikański, zapewniający stanowi szlacheckiemu wszechwładzę za pomocą sejmików wybierających przedstawicieli na sejmy, z drugiej strony związany z obozem królewskim A. Naruszewicz dowodził pierwotnego monarchizmu w Polsce. Dawniejszym „republikanckim" koncepcjom historycznym nadał nową, republikańsko - demokratyczną treść J. Lelewel, poszukujący w dziejach narodu pierwiastka gminowładnego, nie dopuszczający myśli, by silna władza monarchy mogła kiedykolwiek spełnić w naszym kraju dodatnią rolę. Kiedy podkreślał, że Polska zawdzięczała swoją wielkość instytucjom republikańskim idealizował demokrację szlachecką i szlachecki parlamentaryzm, a odsłaniając wewnętrzny rozstrój Rzeczypospolitej winił przede wszystkim monarchię i magnacką oligarchię, dopiero na dalszym planie mówiąc o osłabieniu materialnym i duchowym szlachty. Lelewelowska idealizacja dawnego szlacheckiego parlamentaryzmu wywołała ostrą krytykę stronników pesymistycznej koncepcji dziejów narodowych reprezentujących t.zw. krakowską szkołę historyczną.

Miejsce apoteozy szlacheckiej demokracji, dopiero później wyrodzonej za sprawą królów i magnatów w anarchię, zajmuje bezwzględna krytyka tej ostatniej i tropienie jej śladów w jak najodleglejszych okresach dziejowych. J. Szujski wtedy, kiedy zerwał już z ideałami swej młodości, będzie ubolewał nad przedwczesnością parlamentaryzmu w naszym kraju:

> **„Na ustanowionym przedwcześnie parlamentaryzmie poszukiwać trzeba w pierwszej linii niepowodzeń politycznych Polski w wieku złotym, szkodliwego załatwienia sprawy pruskiej, upadku polityki dynastycznej w sprawach węgiersko - czeskich, dalszych utrat przy wschodniej państwa granicy; jak w powolnym jego dojrzewaniu, przede wszystkim zaś w splątaniu sprawy politycznego przeobrażenia z kwestią religijną szukać przyczyny, dlaczego do skutecznej organizacji jednolitego państwa doprowadzić nie mógł".**

Nad dziejami naszymi ciążyły wedle J. Szujskiego właściwy ludom słowiańskim „brak zmysłu do organizacji politycznej", niedorozwój monarchii, „fałszywe i niemożliwe instytucje", „rozbujały parlamentaryzm", a wszystko to wyrażało w sobie anarchiczne skłonności narodowe. W oparciu o odmienne, już pozytywistyczne widzenie historii poddał niemiłosiernej krytyce szlachecki polski parlamentaryzm zwolennik silnej władzy królewskiej M. Bobrzyński. To nie obca interwencja, ale i nie zacofany ustrój społeczny i wzrastający wyzysk feudalny, lecz „nieład wewnętrzny" i „brak rządu" oraz „niezdrowa wolność" sprawiły upadek dawnej Polski, w czym szlacheckie sejmikowanie i sejmowanie miało swój olbrzymi udział. Znacznie mniej skrajne i bardziej wszechstronne oceny zaprezentowali w drugiej połowie XIX stulecia historycy związani z t.zw. warszawską szkołą pozytywistyczną, zwłaszcza A. Pawiński i A. Rembowski. Dopiero na przełomie stuleci, u progu odzyskania niepodległego bytu państwowego, historiografia nasza jęła coraz wyraźniej odchodzić od tych zaciekłych krytyk do bardziej optymistycznej oceny dawnego parlamentaryzmu, a obok tego jęły się pojawiać też i głosy apologetyczne. W ustroju Rzeczypospolitej szlacheckiej poczęto poszukiwać źródeł tego systemu politycznego, jaki miał się stać podstawą państwa w okresie międzywojennym. J. Siemieński za najbardziej charakterystyczną cechę ustroju dawnej Polski upatrywał „wolność i równość oby-

Dziedzictwo Jana Kantego

Dalszy ciąg ze str. 1

działek już czekało na zapas cegieł, na szopy z cementem i — jak mawiano za czasów Jana Kantego — na k a l f a s y. Najbliższe fabryki to zakłady im. Marchlewskiego i im. Harnama — dymy z nich raczej tu nie dotrą, za to pobliskie łagiewnickie lasy i kompleks zielonych cmentarzy stanowią niewyczerpany magazyn tlenu, nie mówiąc o tym, że w tak pełnym zieleni otoczeniu wodzą się słowiki, są jagody i grzyby a jeśli kto bardzo chce, to sobie może dzionek spędzić z wędziskiem w ręku i obrazem szczupaka potwornych rozmiarów — w wyobraźni.

Dodatkowe argumenty za budową osiedla na Dołach, to łatwa możliwość przedłużenia linii komunikacyjnych, elektrycznych, gazowych, a nawet ciepłowniczych. Toteż mniej więcej na przełomie lat 1956—57 na działkach, ogródkach i poletkach poczęli się pokazywać ludzie z arkuszami planów, grubymi ołówkami i teodolitami. Oprócz tego — u śmieciarza przy Alei Cmentarnej zakwitła jabłoń w jesieni, a szpaki przyleciały na Doły w końcu stycznia: oba te wydarzenia zapowiadały zmiany niezwykłe. I rzeczywiście. Podano oficjalnie do wiadomości, że działki zostaną przymusowo, za odszkodowaniem, wywłaszczone. W pierwszej chwili nie było wiadomo u kogo interweniować. Więc ten i ów starał się gruszkami przekupić architektów, którzy zwiedzali teren. W rejonie szkoły przy Starosikawskiej właściciel działki powiedział, że po jego trupie i stanął z siekierą u furtki. Rozsądniejsi wysłali petycję do Najwyższych Władz do Warszawy, a w petycji zgadzali się na wszystko: na kanalizację, na gaz, a nawet na telefony. Prosili tylko, by ich nie wywłaszczać.

Zdenerwowanie o tyle było usprawiedliwione, że po raz pierwszy tylu ludzi na raz miał spotkać niewiadomy los. Inna przecież była sytuacja Bałut, gdzie mnóstwo bezpańskich posesji ułatwiało załatwienie problemu. Z drugiej zaś strony — zdenerwowanie o tyle było nieusprawiedliwione, że właśnie wtedy wyszła nowela do ustawy o wywłaszczeniach, stwarzająca warunki szybkiego i korzystnego dla stron obu załatwienia sprawy, jeśli tylko prawo własności nie podlegało dyskusji. Toteż pierwsze transakcje wzbudziły zaufanie i nawet ów krewki ze Starosikawskiej złożył siekierę w komórce, chwycił zaś w dłoń ołówek i wraz z żoną spisał cały dobytek podlegający wywłaszczeniu. Jedni więc sprzedawali gospodarkę państwu, a liczyło się osobno: dom, ziemię, komórkę, studnię, ogrodzenie. I szli do mieszkania zastępczego. Wielu skorzystało z faktu, że mnóstwo wówczas było w Łodzi domków jednorodzinnych, więc tam się przenieśli, nierzadko zamieniając walącą się chatę na solidny dom. Udało się ubić interes z nielicznymi zresztą ogrodnikami, a jeden z przedstawicieli tego fachu, na którego gruncie stanął punktowiec z pocztą, dostał ogrodnictwo w Rogach.

W przygotowany w ten sposób teren mogli wkroczyć urbaniści i roztoczyć wizję tej części miasta, tę którą dziś oglądamy własnymi oczami, zrealizowaną prawie do końca. Taki kształt osiedla stworzyli inż. inż. Romuald Furmanek oraz Krystyna i Stefan Krygierowie. Z tym może zastrzeżeniem, że późniejsze zarządzenia „dogęszczające" zmieniły ich pierwotne zamysły i chociaż jest to osiedle o najmniejszym zagęszczeniu mieszkańców na kilometr kwadratowy, nie ma tu tyle wolnej przestrzeni między blokami, ile miało być. Przeniosło się na Doły 20 tysięcy ludzi z miasta. Małe domki zniknęły prawie zupełnie, zostały najlepsze z nich, podmalowały się, wyczuprzyły, by dorównać blokom i zasłużyć na prawo koegzystencji. Od parku Promienistych po Strykowską miały być domy mieszkalne w zespole V, w rejonie ulic Przemysłowej i Górniczej planowano usługi wszelkiego rodzaju. Ale jakoś potrzeby mieszkaniowe i tu przeważyły, wzniesiono zaś bloki metodą ŁSM. To jedyne miejsce na Dołach, gdzie zastosowano metodę uprzemysłowioną.

Z powyższego nie wynika, by to, co powstało, uszczęśliwiło architektów. Do dziś budzi ich po nocach wspomnienie ŁPBM nr 3, które wykonując projekty, psuło wiele takich rzeczy, których zepsucie wydawało się wręcz niemożliwe. Atrakcyjny teren naprawia tu wiele błędów zrobionych przez człowieka. Mało jest w Łodzi takich miejsc jak na Dołach, że od punktowca na rogu Spornej widzi się przestrzeń aż po szpital dziecięcy, a jeszcze w tyle majaczy kopuła kościoła św. Teresy. A z tamtej strony, od szpitala ma się przed sobą większą część osiedla, jak na dłoni, z owym punktowcem pośrodku.

Od punktowca w dół rozciągnęły się uskokami budynki projektowane przez dr. J. Samujło, ulicę Chryzantem (już nie Aleją Cmentarną) zastawiły wieżowce inż. Danuty Wochny, zresztą — który tam z architektów ręki nie przyłożył — i osiedle okrzepło, jako dojrzały organizm.

Jego wschodnia część obejmująca ponad 4 tysiące mieszkańców należy do Robotniczej Spółdzielni Mieszkaniowej „Lokator", co zresztą widać z jaskrawego neonu płonącego u szczytu jednego z wieżowców. Spółdzielnia ta stworzyła jeden z najlepszych w Polsce — Społeczny Dom Kultury przy ulicy Nowopolskiej. Jest znakomity ze względu na wyposażenie i bogaty program działania. Ale sam budynek był już zbyt mały w chwili przecięcia wstęgi. Nie pierwszy to i nie ostatni błąd w tej dziedzinie. Podobno spółdzielnia nie chciała go powtórzyć, projektując inny Dom Kultury, na Teofilowie. Ale władza nadrzędna Spółdzielni reprezentuje zgoła inny pogląd i — zdaje się — za lat parę znów przetniemy wstęgę w dobrym, ale zbyt ciasnym Domu.

Wróćmy jednak na Doły. Kieruje tu sprawami Społecznego Domu p. Karol Wagner. Głowa mu pęka nie tylko od nawału zajęć, ale również z powodu dwóch zespołów big-beatowych ćwiczących na parterze. Jeden z nich to „Arianie" — śpiewają głównie teksty ariańskie. Drugi — „Pustelnicy". Nie potrafię jednak wyjaśnić Czytelnikowi, jaką to pustelnię mają na uwadze ci 13-letni chłopcy. Kiedy muzykanci milkną, dochodzi do głosu żeński zespół wokalny. W czasie jego przerw rozbrzmiewają wiersze w Teatrze Poezji. Jemu na zmianę przychodzą polki i mazury Dziecięcego Zespołu Tańców Ludowych. Poza tym — świetlica, kluby różnych zainteresowań, pracownie. Niezależnie od powyższego — codzienne niemal imprezy, takie jak film, spotkanie z kimś interesującym, recital. Jeżeli w ciągu pół roku działalności odbyło się tych imprez ponad sto, to widocznie odbywają się bardzo często. Dom stoi szeroko otworem dla wszystkich. Dla wszystkich, którzy są w stanie uszanować nieskomplikowane przepisy porządkowe.

Na sąsiedniej ulicy Harcerskiej — szkoła. Nie jedyna na Dołach, ale jedyna dla ich wschodniej połowy. Dzieci, zamieszkujące część tego, co się nazywa osiedlem im. Władysławy Bytomskiej, całe Doły—Wschód i dawną wieś Doły, aż do ulicy Jana Kantego — wszystkie chodzą na Harcerską. Jest ich około 1100. A szkołę zbudowano na 600. Męka dla nauczycieli opiekujących się przepełnionymi klasami, męka dla dzieci. Mają utrudniony dostęp do sali gimnastycznej, utrudniony dostęp do boiska. Bo w szkole parkiet. A parkiet musi być czysty pomimo 1100 par nóg.

Istnieje jeszcze jeden nie rozwiązany dotąd problem, wiążący się z tym osiedlem. Do jego północnego skraju przylega olbrzymi, dziki teren cmentarza żydowskiego. Jest on własnością Skarbu Państwa, ale pozostaje pod opieką Kongregacji Wyznania Mojżeszowego. Jako cmentarz wykorzystuje się tylko jego centralną część, a i ta jest w stanie zupełnego zaniedbania. Długi, bo mający z 5 km długości murowany parkan niszczeje z każdym rokiem, trudno zaś wyobrazić sobie kogoś, kto chciałby podjąć się kosztownego zadania konserwacji. Nie strzeżony, dziko porosły teren jest nawiedzany przez chuliganów i nastręcza kłopotów milicji. W tej sytuacji, czy nie należałoby wydzielić centralą część, ogrodzić ją i poddać odpowiedzialnej opiece, z reszty zaś stworzyć park, lub stadion sportowy?

Przyciasny Dom Kultury i przyciasna szkoła, przyciasne przestrzenie międzyblokowe i fakt, że dzieciaki nie mając boisk włażą z piłkami na trawniki — to wprawdzie mankamenty, ale mankamenty, które można usunąć, które zresztą w niczym nie umniejszają tego wszystkiego dobrego, co tu powiedziano o osiedlu. Każdy rok z minionych dwunastu lat przynosił tu rzeczy nowe, aż po otwarty zeszłej jesieni ów Dom Kultury i ostatni z zaplanowanych bloków. Osiedle stoi gotowe. Już poczyna tonąć pomaleńku w zieleni tych drzew, które posadzono kilka lat temu. Więc przyszedł czas, by usunąć tę i ową usterkę.

JERZY URBANKIEWICZ

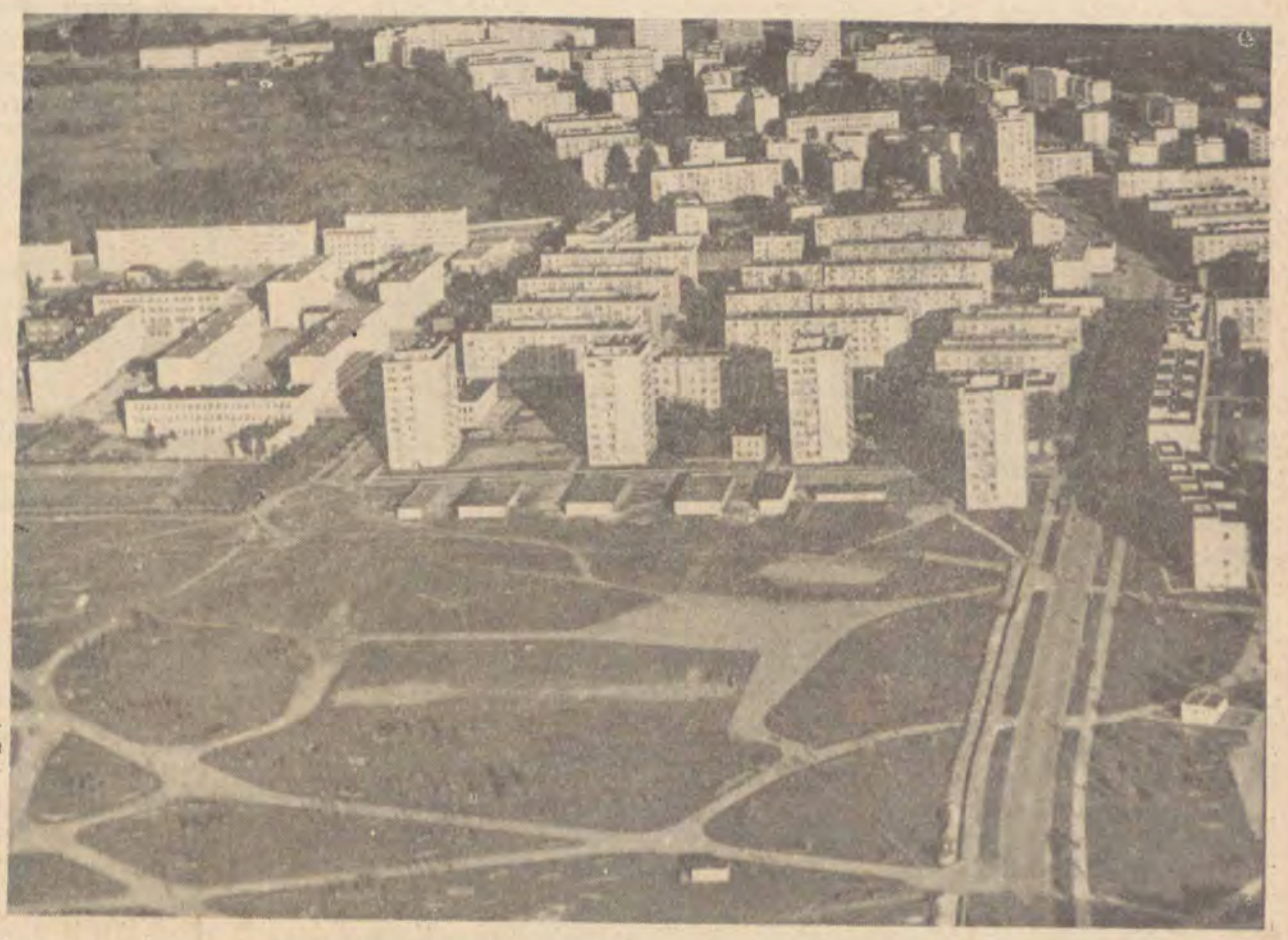

Osiedle im. Władysławy Bytomskiej. Na pierwszym planie Park Promienistych.

Fot. K. Turowski

---

watelską w postaci szlacheckiego demokratyzmu" i dowodził:

„Polska historyczna szła drogą zupełnie prostą, że tak powiem klasyczną, od możnowładztwa przez oligarchię arystokratyczną i ograniczoną demokrację szlachecką do demokracji nowoczesnej".

Polemiki „szkół historycznych", szermierki zwolenników pesymistycznej oceny dziejów narodowych z historycznymi optymistami przyczyniły się walnie do lepszego zrozumienia tego tak skomplikowanego zjawiska, jakim był szlachecki parlamentaryzm dawnej Rzeczypospolitej. Dalecy dziś jesteśmy od przypisywania mu wyłącznej winy za upadek państwa w wieku XVIII jak i dostrzegania jedynie ciemnych jego stron. Staramy się jednocześnie uniknąć — nawet ci historycy, którzy świadomie nawiązują do koncepcji optymistycznych dawnej naszej historiografii — ocen skrajnie apologetycznych i przymykania oczu na rzeczywiste wady ustrojowe dawnego państwa polskiego. Nie uważamy już instytucji sejmu i sejmików za jakąś specyficzną polską „anomalię" dziejowego rozwoju, bo potrafimy wskazać istnienie instytucji analogicznych, choć nie identycznych w innych krajach. Dostrzegamy, że sejm stanowy wywodzi się z pradawnego polskiego wiecu, pierwotnie zbierającego wszystkich wolnych mieszkańców kraju, a podkreślając stanowy — szlachecki — charakter sejmu dostrzegamy, że w warunkach polskich był on mimo wszystko reprezentacją **szerszych kręgów społecznych, niż analogiczne** instytucje na Zachodzie. Ów bowiem „naród szlachecki" w naszym kraju stanowił z n a c z n i e w i ę k s z y p r o c e n t s p o ł e c z e ń s t w a n i ż w i n n y c h. Włoski dyplomata H. Lippomano powiadał w XVI stuleciu, że szlachty było w Polsce aż 200.000 ludzi, w końcu XVIII stulecia stanowiła ona 8 do 10 proc. całej ludności państwa, zaś wśród masy czującej lub mówiącej po polsku procent ten sięgał aż około 25. Stan szlachecki nie stanowił u nas jednolitej masy, a tak zwana „gołota", „szaraczkowie" nie posiadający ziemi lub mający jej bardzo niewiele stanowili niewątpliwie większość owego uprzywilejowanego stanu. Zapewne zdziwili się paryscy członkowie Komitetu Ocalenia Publicznego, kiedy wysłannik powstania kościuszkowskiego mieszczanin F. Barss wyjaśnił im, że w Polsce „trzy czwarte części szlachty są — chłopami" Pamiętamy o tym i wówczas, kiedy podkreślamy ową szlachecką ograniczoność dawnego parlamentaryzmu, wykluczenie zeń nie tylko ludu wiejskiego, ale i podupadających coraz bardziej polskich miast. Historyk dzisiejszy zauważa, że „formalnie demokratyczna równość szlachcica na zagrodzie i wojewody zostaje obalona przez siłę faktyczną tego drugiego, przemoc majątku i wpływów", a śledząc anomalię jaką było „liberum veto" dostrzega, że w przeważającej liczbie wypadków „zrywaczami" byli szaraczkowie działający w interesach oligarchów, różnych Potockich, Sapiehów czy Radziwiłłów. Miał przecież rację S. Staszic, kiedy pisał:

„Powiem, kto mojej Ojczyźnie szkodzi. Kto na sejmikach uczy obywatela zdrady, podstępów, podłości, gwałtu? — panowie. Kto od wieku robi nieczynną władzę prawodawczą, rwał sejmy? — panowie. Kto sądowe magistratury zamienił w targowisko sprawiedliwości, albo w plac pijaństwa, przekupstwa, przemocy? — panowie. Kto koronę sprzedawał — panowie"...

W czyich wreszcie interesach leżało nie dopuszczenie do umocnienia władzy królewskiej w naszym kraju, kto dyskontował dla swych politycznych celów sztucznie podtrzymywany straszak „absolutum dominium"? Z czyjej winy nie powiodły się wielkie plany egzekucyjne w czasach Zygmuntowskich?

Nie istnienie szlacheckiego parlamentaryzmu, ale jego stopniowe w y r a d z a n i e s i ę w instytucję wadliwie funkcjonującą, nie istnienie sejmu i sejmików jako instytucji, ale fakt, że stały się one z biegiem lat narzędziem wąskiej grupy społecznej, magnackiej oligarchii, służącym li tylko dla ochrony jej interesów zawiodły państwo do anarchii. Pamiętajmy jednak, że w przededniu ostatecznej klęski właśnie w oparciu o tę instytucję, podjęto próbę ratowania tego, co zdawało się, można jeszcze uratować. Reformy Sejmu Czteroletniego, acz spóźnione, stały się w dziejach naszych zaczynem nowego...

„Wiele razy dyskutowano u nas nad kwestią, czy źródłem upadku Polski, lub też jednym z jego źródeł były nasze urządzenia ustrojowe — pisał B. Leśniodorski. — Wydaje się, że parlament polski stanowiąc produkt ogólnego rozwoju i jednej warstwy rządzącej stanowił przede wszystkim odbicie ogólnych cech rozwojowych... Trudno powiedzieć, by sam przez się ponosił winę. Nie ulega jednak wątpliwości, że w późniejszych swoich stadiach rozwoju zarówno sejm, jak i sejmik nie tylko nie oddziaływały dodatnio na zachowanie się mas szlacheckich, na ewolucję życia politycznego w Polsce, ale przeciwnie, szerzyły demoralizację i upadek ducha obywatelskiego. Sejmowanie polskie pozostawiło trwałe tradycje daleko posuniętego liberalizmu politycznego z jego skutkami dobrymi i złymi".

JACEK KRZYSZTOF

ŻACZKIEWICZ

Mieliźna

Leżałeś na wznak. Słońce usiłowało sforsować twoje zaciśnięte powieki. Leniwe stadko myśli rozpełzło się po głowie. Byłeś szczęśliwy. Twoje marzenia nie spełniały się zazwyczaj, a jeśli już to częściowo. Szczegóły pozostawały inne. Im bardziej czegoś pragnąłeś tym smutniejsze były wyniki. Wtedy pytałeś siebie czy prawdziwe marzenie, wyśniony obraz idealny może się w ogóle urzeczywistnić? Zawsze przecież pozostaje osad niedosytu i zawodu, i człowiek stwierdza z żalem — więc to tylko tyle, więc to tylko tak.

Dlatego nie wierzyłeś w realność obrazu, który niespodziewanie choć plastycznie stanął ci przed oczami pół roku temu, na wiejskiej drodze pokrytej zaspami do pasa, skrzypiącej pod butami, przy dwudziestostopniowym mrozie, kiedy policzki paliły, a każdy haust powietrza rozdzierał płuca. I nie wierzyłeś również gdy ta myśl przyszła ci znów do głowy parę dni temu i pozostała już jak bolesna zadra, której nie można usunąć, powoli torująca sobie drogę między mięśniami aż stało się to nie do zniesienia, aż wstałeś gwałtownie z twardego krzesełka w dusznym biurze, odprowadzany zdziwionym wzrokiem kolegów, bez słowa wyjaśnienia zszedłeś na dół do gabinetu lekarza twojego przyjaciela z lat szkolnych, żądając już od progu, jeszcze drzwi nie zamknąwszy, żeby ci dał zwolnienie na tydzień bo musisz koniecznie wyjechać, a on patrzył na ciebie zatroskanym wzrokiem jak się patrzy na wariata potakując chociaż nic nie rozumiał z twojej długiej, płynnej tyrady tylko jego opór gasł powoli, wreszcie z rezygnacją wypisał druczek i skierowanie unikając twojego wzroku przy pożegnaniu. Nie wierzyłeś nawet siedząc w pędzącym wśród ciepłej nocy pociągu, którego koła zdawały się wystukiwać — to nie będzie tak, to nie będzie tak, jak chcesz, jak chcesz.

I oto leżałeś na rozgrzanym, aż parzącym skórę piasku, jakiego nie ma Riwiera ani Morze Czarne, chociaż nie złotym i miękkim, tylko jasnożółtym, właśnie piaskowym, zbitym w twardą masę. Zastanawiałeś się przez dłuższy czas, czy otworzyć oczy ale wymagało to pewnego wysiłku. Słyszałeś łagodny szum morza i próbowałeś sobie przypomnieć jak wygląda skrawek plaży, na którym leżałeś. Miała ona kształt zbliżony do spłaszczonego półkola zamkniętego z lewej strony olbrzymim, zielonkawym od wodorostów głazem, który zwracał uwagę oryginalnością kształtu i samym faktem istnienia tutaj, wśród jednostajności piaskowych wydm. Za tobą piętrzyła się skarpa gęsto porosła strzelistymi, zadziwiająco monarnymi świerkami, a może sosnami, o jędrnej korze i szerokich gałęziach nachalnie rozpartych na boki. Z prawej plaża rozszerzała się nieco, przechodząc w obszar rachitycznych trawek i ostów. Dalej leżało usypisko śmieci, a jeszcze dalej na prawo wrak starego kutra. To była granica oddzielająca cię od szerokiego pasa dzikich plaż zaludnionych z rzadka, gdzie punktem centralnym była plaża strzeżona pełna wycia radioodbiorników, megafonów i dzieci. Przekręciłeś się na lewy bok nie otwierając oczu. Miałeś teraz ciężar słońca na lewym boku i plecach. Poczułeś jak coś chodzi po twojej nodze, pewnie mrówka. Niechętnie uchyliłeś powieki. Najpierw była różowawa mgła przechodząca w tęczowe koła. Potem zobaczyłeś znowu tę mieliznę. Błyszczała w słońcu. Trwała na przekór falom, które jakby rozstępowały się przed nią, oddaloną o 300—400 metrów, trochę na skos od ciebie. Cały jej ogrom był zanurzony w morzu, wystawała tylko część podobna do meduziej kopuły przechylonej na bok. Popatrzyłeś na mrówkę, która biegła nerwowo po twoim ramieniu klucząc. Była duża o wypasionym ceglastym odwłoku. Pobłyskiwała czarnym, ruchliwym łebkiem. Drobniutkie nóżki, przebiegając po twoim ciele dawały złudzenie delikatnej, wyrafinowanej pieszczoty. Dlatego przez chwilę postanowiłeś jej nie zdejmować. Podniosłeś tylko rękę i przypatrywałeś się bezradności zwierzątka, które starało się odzyskać dawną pozycję. Potrząsnąłeś dłonią, mrówka zgrabnie spadła na piasek i natychmiast rzuciła się z powrotem w twoją stronę jakby była na gumce. Roześmiałeś się głośno. Przesypując z ręki do ręki drobny piasek wyłowiłeś ułamek muszelki o białoniebieskiej barwie.

Wtedy przypomniałeś sobie jego twarz z włosami nieokreślonego koloru spadającymi ciągle na czoło. Skurczona starcza twarzyczka pokryta bruzdami niepowodzeń. Kreska bezbarwnych ust zaciśniętych z bezsilnością mięczaka, stworzonego by inni mogli robić karierę jego kosztem. Malutkie uszki i pomarszczony nosek. Od morza powiała bryza. Podniosłeś się zwinnie i podbiegłeś do wody wpadając w nią z impetem, wśród świetlistych rozbryzgów, żeby przełamać chwilę wahania. Płynąc miarowo obserwowałeś jak przesuwa się pod tobą dno początkowo wyraźnie zarysowane i krystaliczne potem coraz bardziej zamazane i uciekające ostro w głąb. Jednocześnie woda zmieniała barwę. Przepływałeś kolejne pasma kolorów od białawego przy brzegu, potem seledynowego, szmaragdowego, zgniłozielonego, przez niebieski, szafirowy, stalowy do czarnego. Wtedy zrozumiałeś, że musisz zawrócić wbrew oporowi morza, które stało się naraz fizyczną i psychiczną siłą wrogą, a jednocześnie pociągającą w swój ogrom i pustkę. Płynąłeś na plecach starając się nie myśleć o tym. Pozostawiałeś za sobą bezmiar wody drgającej, pulsującej siłą pokrytej sinymi grzbietami fal. Morze żyło własnym życiem. Coś tam w jego wnętrzu ścierało się, walczyło nie mogąc wyjść na wierzch. Otaczało cię zewsząd. Istniało do granic widnokręgu. Potem biegłeś wzdłuż brzegu pozostawiając na równym piasku odciski stóp, a kropelki wody, które lśniły na twojej skórze stopniowo zmniejszały objętość aż znikły zupełnie w palących promieniach słońca. Położyłeś się na kocu słuchając stłumionego pomruku morza i szumu drzew za plecami. Wchłaniałeś zapach morza — soli, jodu, wodorostów i jeszcze czegoś. Ów ostry, ożywczy zapach, którego nie da się dokładnie określić. Myślałeś — rzeki asfaltu, które płyną przez las murów oplecionych lianami konstrukcji. Betonowe klatki wśród kamiennych wąwozów pełnych zwierząt z żelaza. Trujące chmury wyziewów i zgiełkliwość tej najokrutniejszej z dżungli.

W pobliżu zakwiliła mewa. Wstałeś z koca i podszedłeś do niej na parę kroków. Duże, stalowo-białe ptaszysko nie miało zamiaru uciekać. Przekrzywiwszy głowę w bok patrzyło na ciebie ciekawsko. Miało oczy podobne do jego oczu. Tak, ten szczegół nie pasował do jego twarzy. Za drucianymi okularami kryły się dwa ruchliwe reflektorki kłujące jak szpilki. Oczy, które czasem zdradzały, wbrew intencjom właściciela, że wiedział on więcej niż można było przypuszczać, chociaż starał się tego nie pokazywać. Może bawił się skrycie udając, że nie dostrzega jak z przekąsem wymawiano jego nazwisko, które samo w sobie nie było śmieszne czy dziwne, ale w połączeniu z jego osobą brzmiało groteskowo. Sięgnąłeś po papierosa nie mogąc sobie przypomnieć jego nazwiska, ale zrezygnowałeś w ostatniej chwili. Rozgniotłeś papierosa, a wiatr uderzający nagle od morza ułożył strzępki tytoniu w fantazyjny wzór.

Czas płynął szybko na tym odludnym, zapomnianym przez wszystkich skrawku wybrzeża. Z każdym dniem twoja skóra stawała się bardziej gładka i opalona na brąz. Właśnie brązowa a nie czerwona. Potrafiłeś leżeć godzinami i wyobrażać sobie jak budujesz wspaniałe, barokowe pałace z mokrego piachu z głębokimi fosami i zwodzonymi mostami jak je ciągle modyfikujesz, a nocą fala przypływu zaciera ich kształty i następnego dnia zostają tylko ruiny. Wyobrażałeś sobie, bo chociaż mógłbyś robić takie pałace i łowić maleńkie flądry to wszystko byłoby teraz bezsensem, który nie mógłby odwrócić czasu i cofnąć cię w przeszłość. Nie golony, pojaśniały zarost dawał ci poczucie swobody. Lubiłeś trwać bez ruchu i patrzeć na mieliznę. Uważnie obserwując można było dojść do wniosku, że zmienia ona kształt. Musiał tamtędy przepływać jakiś silny prąd podmorski. Kiedy już miałeś wyjeżdżać przyszedł sztorm, niespotykany o tej porze roku i patrząc na przygięte korony mocarnych drzew myślałeś o dwoistości morza, które buntuje się przeciw rzeczywistości by po krótkim okresie wzburzenia powrócić na stare, wyznaczone przez naturę miejsce. Złożyłeś swój namiot i wyrzuciwszy puszki od konserw na śmietnisko poszedłeś, ryzykując spóźnienie na pociąg, zobaczyć jeszcze raz mieliznę. Stałeś na wysokiej skarpie, ponieważ plaża była zalana spienioną wodą. Mielizny nie było, wielkie bałwany przewalały się po całej powierzchni morza. Ale wiedziałeś, że kiedyś pojawi się znowu, choć może nie w tym samym miejscu, ta płaszczyzna piasku wdzierającego się w morze jakby w odwecie za niszczycielską działalność fal rwących ląd. Wtedy przypomniałeś sobie jego nazwisko. Nazwisko człowieka, którego już nie ma. Odwróciłeś się szybko i w podmuchach wilgotnego, gryzącego wiatru poszedłeś na stację czując nieprzyjemną szorstkość wełnianego garnituru, od którego zdążyłeś odwyknąć.

A kiedy już siedziałeś w przedziale tam to wszystko wydało ci się nierealne nie takie jak chciałeś i dziwiłeś się uczuciom, które powinieneś z siebie wyrwać by żyć jak inni w wielkim bezlitosnym świecie. Widziałeś wokół siebie twarze współpodróżnych i były ci one zupełnie obojętne jak wszystko co nie dotyczyło bezpośrednio twoich interesów. Zapaliłeś z rozkoszą papierosa. Wracałeś.

Rys. M. Kapuścińska

WITOLD DĄBROWSKI

* * *

...a nazajutrz znów będzie ranek,
dzień zaczęty od nowa
i nad szare wody wiślane
chybotliwa witka wierzbinowa.

A nazajutrz wieczorem znów
sponad leszczyn księżyc wyskoczy,
może pełnia, a może nów,
Orion przy nim, albo Pies Gończy.

Tyle rzeczy będzie się działo
bardzo zwykle, bardzo zwyczajnie,
tylko to, co się stało
stało się,
stało się,
nie odstanie...

* * *

Cała moja namiętność —
patrzenie,
widzenie.

Niewielka umiejętność
i nie nadto w cenie.

Kraj mój mam przed oczyma —
to moja majętność.

To więcej, niż wytrzyma
srebrna obojętność.

POLONICA

ANTOLOGIA PROZY POLSKIEJ

W specjalnej serii Wydawniczej Carl Hanser Verlag w Monachium ukazało się drugie wydanie antologii prozy polskiej pt. „Polnische Prosa des 20. Jahrhunderts" (Polska proza dwudziestego wieku). Książkę przygotował zasłużony tłumacz literatury polskiej w NRF, Karl Dedecius, w jego też tłumaczeniu ukazała się większość utworów tej antologii. Ten tom prozy polskiej, liczący ponad 700 stron druku, składa się z czterech części: Losy i charaktery, W garderobie duszy, Przed sądem i Wiedza o ojczyźnie. Otwiera antologię utwór Wacława Berenta, a kończy fragment ze Stanisława Lema. Książkę zamykają noty o autorach, posłowie wydawcy Karla Dedeciusa, uwagi o wymowie polskich słów i krótkie podziękowanie tym wszystkim, którzy dopomogli wydawcy i redaktorowi w dokonaniu wyboru. Antologia prozy polskiej wydana została na pięknym papierze, w sztywnej okładzinie i pięknej obwolucie.

KSIĄŻKA O POLSCE

Hans Zbinden, przewodniczący Związku Pisarzy Szwajcarskich, znakomity eseista, odwiedził Polskę czterokrotnie: w 1932, 1933, 1939 i 1965 roku. W 1933 roku zastała go w Polsce wojna i do Szwajcarii mógł powrócić drogą okrężną przez Rumunię. W czasie ostatniej swej podróży w 1965 roku Hans Zbinden odwiedził również Łódź, gdzie wygłosił dwa odczyty (po francusku i niemiecku). Obecnie wydał on książkę pt. „Polen einst und jetzt" (Polska niegdyś i teraz), w której opisał wszystkie swoje pobyty w naszym kraju. Książka reportaży i refleksji Hansa Zbindena, nacechowana jest życzliwością dla naszego kraju. Zbinden uważa, że poprawa stosunków pomiedzy Polską a Niemcami zachodnimi mogłaby nastąpić wówczas, gdyby NRF uznało naszą granicę na Odrze i Nysie.

SZANIAWSKI PO NIEMIECKU

Nakładem Carl Hanser Verlag w Monachium, firmy wydawniczej specjalizującej się niejako w wydawaniu polskiej literatury, ukazały się ostatnio „Opowiadania profesora Tutki" (Professor Tutkas Geschichten) Jerzego Szaniawskiego w tłumaczeniu niezmordowanego Karla Dedeciusa i z rysunkami Daniela Mroza.

W recenzji z tej książki na łamach „Frankfurter Allgemeine Zeitung" (z 5 kwietnia br.) Hansjorg Graf przypomina twórczość dramatopisarską Jerzego Szaniawskiego, a następnie w sposób przychylny i życzliwy ocenia wydane obecnie opowiadania. Recenzja nosi tytuł „Śnieg zeszłoroczny? Polskie pointy Jerzego Szaniawskiego".

POLONICA

JAN HUSZCZA

Dwóch bohaterów zamiast jednego

Chodzi o przedstawienie „Płaszcza" Gogola w przeróbce scenicznej Juliana Tuwima, które od 17.IV.1969 r. można oglądać w Teatrze Powszechnym.

Bohaterem znakomitego opowiadania Gogola jest mały zahukany człowieczek, jakich wiele. Opowiadanie nosi tytuł „Płaszcz", człowieczek nazywa się Akakij Akakijewicz Baszmaczkin. W przekładzie innego znakomitego rusycysty i tłumacza, Jerzego Wyszomirskiego, w przekładzie nieco kontrowersyjnym w stosunku do tuwimowskiego, opowiadanie nosi tytuł „Szynel" jak w oryginale, bohater nazywa się Akakiusz Akakiuszowicz Kamaszkin. Może nie bez racji, którą zresztą Wyszomirski w odsyłaczu wyjaśnia.

Przeróbka Tuwima odniosła w dwudziestoleciu w Warszawie duży sukces, m. in. dzięki Jaraczowi, o czym wiem, niestety, jedynie z ówczesnych czasopism.

Przeróbka? Termin nie określa utworu teatralnego, z którym mamy do czynienia. Tuwim znacznie rozszerzył opowiadanie, wprowadził do niego nie tylko postacie gogolowskie, ale i inne, znane z rosyjskiej klasyki, w niektórych wypadkach sam je dzięki swemu oczytaniu i intuicji stworzył, ujawniając swój znany talent do pastiszu. Więc dopowiadają znawcy: panopticum, panorama... Proszę wybierać!

A jednak przeniesionemu na scenę opowiadaniu wiele ubyło z gogolowskiej siły wyrazu, z kondensacji. Właściwie zjawisko dosyć normalne: sceniczne adaptacje i przeróbki wybitnych dzieł literatury z reguły wiele tracą, choć są potrzebne i pożyteczne.

Można jednak i w tym wypadku pokusić się o szukanie przyczyny.

Dorobek poetycki Juliana Tuwima, ceniony i nadal żywy, staje się coraz bardziej dyskusyjny. Jedni cenią go za satyrę, drudzy za lirykę, wszyscy są zgodni co do majsterstwa, świetnego rzemiosła.

W nowym zbiorze esejów Artura Sandauera („Samobójstwo Mitrydatesa") znajdujemy jeden, szczególnie celny, poświęcony właśnie Tuwimowi, poecie i człowiekowi. Sandauer wyznaje, iż nie stać go na sformułowanie jednoznacznych sądów o Tuwimie, więc opiera swoje studium „na zasadzie ambiwalencji". Jeden z rozdziałów studium nosi tytuł: „Kabareciarz — metafizyk".

Po opowiadanie Gogola, by je przysposobić na użytek sceny, sięgnął Tuwim-kabareciarz, co w tym tylko wypadku jest słowem o znaczeniu raczej ujemnym. Przy było więc lepszej lub gorszej proweniencji dowcipów, ale otrzymaliśmy dwóch bohaterów zamiast jednego: Czesław Przybyła jako Baszmaczkin konkurował z Jerzym Przybylskim jako generałem Gromotrubowem. Gorzej: najbardziej ożywiająca widownię scena I z aktu III-go — przedstawiająca wizytę u „wpływowej osoby", u rosyjskiego samodura, należy do Gromotrubowa — Przybylskiego.

Dlaczego gorzej? Po pierwsze, Tuwim całkowicie rozmija się z Gogolem, który napisał opowiadanie o Baszmaczkinie. Po drugie, zanika, traci na wadze problem małego człowieczka w literaturze i w życiu. Dowodem ważności tego problemu są przecież liczne utwory. W dwudziestoleciu mały człowieczek nazywał się „szarym człowiekiem", po wojnie nazywał się „frajerem". A sam „Płaszcz" jest utworem żywym, wystarczy przypomnieć, iż przed laty oglądaliśmy film włoski, będący zaadaptowaniem opowiadania na użytek współczesny.

Budzenie współczucia lub śmieszności to za mało. W omawianym wypadku reżyser chętniej akcentował śmieszność, uciekając się aż do płaskiej farsowości — przeróbka Tuwima temu sprzyja — jak na przykład w scenie, gdy Baszmaczkin — Czesław Przybyła biega po wysokich schodach, by się przekonać, że wisi jego szynel, ideał ubogiego życia. Wystarczyłoby jakieś wyraziste zerkanie w stronę płaszcza.

Wydaje się, że inscenizator, reżyser i scenograf w jednej osobie, Mirosław Szonert, przegapił pewną szansę. Sugestywnie wypadła szczęśliwie pomyślana scena poszukiwania widma Baszmaczkina przez policję. Może należało na niej poprzestać? Zostałoby wrażenie niesamowitości, tak właściwej Gogolowi-realiście. Późniejsza rozmowa zagrobowego Baszmaczkina z żywym Gromotrubowem sprowadza się do retorycznej dydaktyki, do morału: wysłuchajmy czasem i małego człowieczka.

Mimo iż wszyscy uczestnicy przedstawienia zdawali sobie sprawę z tego, w czym biorą udział, a do wyżej wymienionych dodałbym jeszcze Stójkowego (Aleksander Fogiel), Chlestakowa (Janusz Kubicki), Krawca (Jerzy Szpunar) — nie potrafię znaleźć wyjaśnienia, z jakich to oczywistych powodów sięgnięto po „Płaszcz" Gogola — Tuwima.

Czesław Przybyła i Jerzy Przybylski w „Płaszczu" Gogola.
Fot. Fr. Myszkowski

Spektakle tygodnia

	Spektakle	Widzów	Proc.
WIELKI			
„Tragedyja, czyli rzecz o Janie i Herodzie",	2	2520	100
NOWY			
„Dziś do ciebie przyjść nie mogę",	6	4200	100
„Zeglarz",	4	2800	100
„Rewizor",	1	500	75
„Śluby panieńskie",	1	700	100
NOWY			
Mała Sala			
„Księżyc świeci nieszczęśliwym",	1	200	100
„Szkoła kobiet",	1	200	100
„Bliski nieznajomy",	3	450	75
POWSZECHNY			
„Płaszcz",	4	1568	60
„Czarna komedia",	1	668	100
„Kawior i kaszanka",	1	500	75
JARACZA			
„Anabaptyści",	2	1074	85
7.15			
„Demoniczny nadkabaret",	3	1119	89
OPERETKA			
„Turniej w Rio de Maracasso",	6	6571	100
FILHARMONIA			
Koncerty symfoniczne	2	800	80

Jerzy Tchórzewski *Upadająca postać I (olej)*

IGNACY GUSTAW ROMANOWSKI

MIT PROMETEJSKI TCHÓRZEWSKIEGO

Spośród artystów, których debiut i krystalizacja postawy twórczej przypadły całkowicie w okresie Polski Ludowej, najbardziej chyba konsekwentna i fascynująca jest droga twórcza Jerzego Tchórzewskiego.

Począwszy od 1948 r., kiedy na krakowskiej Wystawie Sztuki Nowoczesnej uznanej potem za pokaz drugiej awangardy w polskim malarstwie, dwudziestoletni podówczas student ASP w Krakowie dał się poznać jako ukształtowany już twórca, aż po dzień dzisiejszy — artysta ten dostarcza na swoich kolejnych wystawach emocji pewnych i stałych.

Twórczość Tchórzewskiego, utrzymująca się przez dwudziestolecie na poziomie zadziwiająco wysokim, przez cały ten okres jest jednocześnie fenomenem wyjątkowej stabilności. Dlatego też zapowiedź każdej wystawy tego artysty daje z góry gwarancję, że będzie to obcowanie z dziełem poważnym i uformowanym. Takie nadzieje spełnia również ostatnia wystawa Tchórzewskiego.*)

Malarstwo Tchórzewskiego może być przykładem wierności raz dokonanym przemyśleniom i raz obranej drodze twórczej. Wszelkie zmiany w plastyce sterowane aktualną modą, przepływają obok tego artysty całkowicie niezauważone. W tej twórczości są one bowiem całkowicie nieprzydatne.

U początków twórczości Tchórzewskiego leży akceptacja pewnych rygorów poetyki nadrealizmu. Na tej fascynacji poetyckim modelem oparta jest wizyjność sztuki Tchórzewskiego. Tę pierwotną matrycę wzbogaca dalej artysta o napięcia i przeżycia będące prostym odbiciem rzeczywistości realnej; udramatycznia i obiektywizuje świat wyłaniający się z płaszczyzny obrazu.

A jest to świat na pierwszy rzut oka daleki i nieludzki. Kosmiczne krajobrazy o poszarpanej ekspresyjnie tkance, ciemne czeluści, prześwietlone w kilku miejscach martwym światłem, mogą przyprawić odbiorcę pierwszy raz stykającego się z tą sztuką o szok. Wprowadzone do tych krajobrazów postacie ludzkie ukształtowane z materii niecielesnej, — a wyglądem bliskiej pumeksowi i strzępom pajęczyny — napięcie to jeszcze wzmagają. Pierwszym odczuciem w obcowaniu z tą sztuką jest więc rozpacz.

Jest to jednak twórczość zbyt humanistyczna, aby celem jej miało być wywołanie na stałe takiego wrażenia. Dłuższe pozostawanie w świecie wizji Tchórzewskiego wywołuje stopniowo ewolucję — od nagłych afektów, poprzez analizę ich wzajemnego oddziaływania — aż do syntetycznego i w gruncie rzeczy pogodnego pojmowania tej sztuki. Pierwszy zimny powiew ustaje. Przychodzi krystaliczna fascynacja tą głęboko ludzką twórczością.

Istotą malarstwa Tchórzewskiego jest walka materii z antymaterią, świata widzialnego — z niewidzialnym, człowieka — z przestrzenią. Jest to konflikt rozgrywający się na dwóch płaszczyznach: ideowej wewnętrznej i zewnętrznej powierzchni malarskiego tworzywa.

Wewnątrz obrazu krajobrazy materialne pozostające w stałej konfrontacji z przestrzenią, gną się i poddają po to, aby w innym miejscu zaatakować wielką statyczną pustkę. Człowiek w tych ostrych krajobrazach ucieka lub stawia czoła tej samej ugniatającej go przestrzeni, walczy z przedmiotami, których byt jest pozamaterialny. Tej dynamice odpowiada zewnętrzna powierzchnia, „skóra" obrazu. Formy materialne ukształtowane są z pofałdowanego w szybkim schnięciu „kożucha" farby olejnej, formy pozamaterialne mają strukturę tła — gładką i płaską fakturę.

Można wierzyć, że „Postać chwytająca gwiazdę", mimo wielkiej wyrwy, jaką wydrążyło w niej zimne światło gwiazdy — gwiazdę tę kiedyś schwyci. Można również wierzyć, że bohater „Walki z motylem" (motyl symbolem wszelkiej nietrwałości), po długiej ciężkiej pogoni pojmie wreszcie rubinowego motyla. Bo prometejski bohater Tchórzewskiego, choć jest istotą wydaną na pastwę niezliczonych konfliktów, zbrojny jest w naiwną i dlatego w niezniszczalną wiarę w przewagę życia nad śmiercią.

Wbrew głosom odczytującym twórczość Tchórzewskiego jako podzwonne dla człowieka, myślę, że jest to jedno z najpiękniejszych widzeń złożonej kondycji ludzkiej, jakie proponuje nam sztuka.

*) Jerzy Tchórzewski — malarstwo — Warszawa, Zachęta, kwiecień — maj 1969.

TERESA WOJCIECHOWSKA

Rzecz z teatru staropolskiego

Dokładnie 350 lat mija od chwili gdy w dzień świętego Jana, podczas jarmarku na rynku w Kamionce Strumiłowej, uczony a młody, bo 21-letni bakałarz Jakub Gawatowic wystawił swą „Tragaedię Albo Wizerunek Śmierci Przeświętego Iana Chrzciciela Przesłańca Bożego". A uczynił to „na ozdobienie zacnego miasteczka i pokazanie w nim porządku wszelakiego".

W 350 lat później sięgnął do tej zapomnianej a cennej pozycji polskiego teatru renesansowego współczesny polski kompozytor Romuald Twardowski, by zaadaptować ją na scenę operową *). Twardowski jest kompozytorem współczesnym, nie dlatego, że żyje współcześnie lecz dlatego, że interesują go najnowsze prądy i kierunki w muzyce, że w tej konwencji tworzy. Należy on do tej grupy muzyków, którzy widzą więzi między muzyką dawną a najnowszą i w nowoczesnej szukają możliwości twórczego kontynuowania muzyki dawnej. Nie osiągnąwszy jeszcze wieku czterdziestu lat Romuald Twardowski ma już za sobą spory dorobek kompozytorski, nagrody uzyskane w Paryżu, Monte Carlo i Pradze. Poza utworami estradowymi, tworzy również dla sceny. „Tragedyja czyli rzecz o Janie i Herodzie" jest jego czwartą pozycją sceniczną po balecie „Nagi książę", operze „Cyrano de Bergerac" i nie wystawianym jeszcze balecie „Posągi czarnoksiężnika".

Teatr fascynuje Twardowskiego, ale jest to nie tylko fascynacja. Kompozytor uważa, że muzyka współczesna przeżywa kryzys, polegający na oderwaniu się jej od możliwości percepcyjnych słuchacza. Wprawdzie rozdźwięk między słuchaczem, a tworzoną współcześnie muzyką istniał zawsze, dziś jednak ma charakter znacznie ostrzejszy niż kiedykolwiek. Reprezentując ten pogląd Romuald Twardowski właśnie w teatrze muzycznym widzi platformę porozumienia między kompozytorem, a odbiorcą jego dzieł, szansę przybliżenia współczesnej muzyki do współczesnego słuchacza. Niewątpliwie jest w tej koncepcji wiele racji. Obraz, ruch, barwa pobudzają wyobraźnię muzyczną, współdziałanie tych elementów pozwala słuchaczowi-widzowi oswoić się z nowymi formami i nowymi treściami muzycznymi.

Szczególny sentyment żywi kompozytor do muzyki XVII i XVIII wieku, zwłaszcza do polskiej muzyki ludowej tego okresu. To upodobanie kazało mu szukać tematu do najnowszej opery w twórczości dramaturgicznej tamtej epoki. Romuald Twardowski jest również autorem libretta. Oparty na biblijnej przypowieści o Janie Chrzcicielu i królu Herodzie dramat Gawatowica jest moralitetem, do którego autor wybrał z Biblii niektóre wątki, inne pomijając, zabarwił motywami ludowymi, plebejskimi, wprowadził postacie aniołów, czartów, śmierci, wieśniaków, wydobywając z całej historii przede wszystkim treści humanistyczne. Jego bohaterowie są postaciami złożonymi, nie personifikują jednoznacznie zła lub dobra, są głęboko ludzcy, przeżywają chwile wahania i słabości, czyniąc źle nie doznają satysfakcji, czyniąc dobrze — nie są szczęśliwi.

Głównym zabiegiem adaptacyjnym, dokonanym przez librecistę było skrócenie dzieła Gawatowica z pięciu do trzech aktów, przy pełnym szacunku dla staropolskiego tekstu, który pozostał niemal całkowicie nienaruszony, z zachowaniem autentycznego języka. Pewnych zabiegów adaptacyjnych wymagały intermedia. Geograficzne i handlowe położenie ówczesnej Kamionki, gdzie w dni targowe spotykali się kupcy ze Wschodu i Zachodu sprawiało, że sztukę oglądali na rynku Polacy, Ukraińcy, Rusini, Ormianie. Niektóre intermedia reprezentowały folklor tych narodów, niektóre były napisane w języku ukraińskim. Intermedia Gawatowica zastąpił Twardowski quasi-intermediami, na które składają się fragmenty renesansowej poezji polskiej, bardzo trafnie dobrane, recytowane przez aktorów dramatycznych.

Dzieło stworzone przez Romualda Twardowskiego, nigdy nie wystawiane dotychczas na scenie, było próbą śmiałą i odważną, próbą przeniesienia teatru polskiego odrodzenia na współczesną scenę i to w dodatku operową. Niemniej śmiałej i odważnej próby podjęli się realizatorzy przedstawienia, próby interpretacji teatru staropolskiego w konwencji muzycznej. Realizatorzy mieli tym więcej do powiedzenia, że autor właściwie nie przedstawił ściśle sprecyzowanej koncepcji scenicznej, jego utwór jest właściwie tworzywem, łatwo poddającym się różnym zabiegom formalnym. W tej sytuacji dobór realizatorów reprezentujących określone indywidualności artystyczne miał decydujące znaczenie dla kształtu scenicznego opery. A możliwości tych na pewno jest wiele, od wielkiego widowiska poczynając, na rodzaju inscenizowanego oratorium kończąc.

Powierzenie opery Romanowi Sykale i Marianowi Stańczakowi zadecydowało, że na scenie Teatru Wielkiego oglądamy widowisko barwne, mimo epickiego toku narracji w miarę żywe, ruchliwe. Akcję głównego wątku umieszczono w nawie późnorenesansowej, której nadano kształt jakby tryptyku, chór umieszczono w niższych partiach sceny — powierzając mu rolę widowni obserwującej i komentującej wydarzenia.

Nie wątpię, że znajdzie się wielu krytykujących, dopatrujących się niekonsekwencji inscenizacyjnych. Pewien mój znajomy wołał o pomstę do nieba w sprawie półnagiej tancerki w teatrze renesansowym i domagał się interwencji milicji w sprawie prologusa i narratorów ubranych w czarne swetry typu golf. Mnie osobiście ten pomysł się podoba, bo jest symbolem umowności, porozumienia ze współczesną widownią, dla której rzecz stworzono, a która patrzy inaczej niż widownia sprzed 350 lat tak samo jak słucha inaczej „Gorzkich żali" w nowoczesnej instrumentacji. Nie to jest jednak istotne, że komuś podobał się jakiś szczegół, komuś innemu — nie. Istotny jest sukces autora i realizatorów, którym udało się przekazać współczesności mało u nas znany dramat staropolski, że udało się odgrzebać z niepamięci piękną muzykę ludową i muzykę sakralną Polski XVII i XVIII wieku i podać ją w nowoczesnych formach muzycznych. Niezbyt bogaty polski dorobek operowy wzbogacił się o niewątpliwie cenną, wartościową muzycznie pozycję, która — można przypuszczać — dzięki swym walorom będzie pozycją trwałą. Dobrze świadczy o ambicjach Teatru Wielkiego fakt, że po raz drugi w ciągu jednego sezonu podejmuje już drugą prapremierę polską, dając przedstawienie piękne w kolorach, w zaprojektowanych z rozmachem a jednocześnie prostotą, dekoracjach. Opera Romualda Twardowskiego w adaptacji scenicznej Romana Sykały, jest zapewne jedną z propozycji jak dzieło to można zrealizować. Propozycji takich może być więcej, na doświadczeniach łódzkich opierać się mogą, lub przeciwstawiać tej koncepcji inne sceny operowe, które zechcą podjąć się wystawienia tej opery. Mogą być podobne, mogą być skrajnie różne, ale próbować na pewno warto.

Łódzkie przedstawienie zostało przygotowane bardzo starannie i precyzyjnie od strony muzycznej pod kierownictwem Zygmunta Latoszewskiego. W dwóch głównych partiach: Jana i Heroda usłyszeliśmy **Władysława Malczewskiego** (Jan) i **Andrzeja Saciuka** (Herod) — była to prawdziwa uczta dla ucha. Od dłuższego czasu nie słyszany na łódzkiej scenie znów pięknie zabrzmiał czysty, o szlachetnym brzmieniu głos Władysława Malczewskiego. Aktorsko stworzył postać monolitowo tragiczną, jakby wykutą z kamienia czy marmuru. Świetnym Herodem był Andrzej Saciuk, o którego głosie i wokalistyce można powtarzać wciąż te same superlatywy. Tu zabłysnął również talentem aktorskim. Każdy jego ruch, krok, każdy gest wtopiony był w muzykę, stanowił nierozłączną z nią całość. **Teresa Wojtaszek-Kubiak** jako Herodiada zaprezentowała piękny, o bogatej skali sopran dramatyczny. Do aktorskiego popisu rola dała jej niewiele miejsca. Oryginalny efekt przyniosło wzmocnienie czystego, nośnego głosu **Alicji Borkowskiej-Pawlak** mikrofonem. Wyrok Śmierci nabrał w tym brzmieniu cech iście „pozaziemskich". Partie Anioła wykonał **Tadeusz Kopacki**, Prologusa-Epilogusa — **Romuald Spychalski**. O ile partie tych solistów brzmiały czysto, wyraźnie, tekst dochodził jasno do widowni, o tyle partie chóralne nie były śpiewane dostatecznie wyraźnie, tak samo jak nie dotarło do widowni prawie ani jedno słowo z tekstu śpiewanego przez trzech skądinąd sympatycznych Czartów (**Antoni Majak, Tadeusz Gawroński, Adam Duliński**). A szkoda bo w tego typu utworze tekst jest bardzo istotny. W baletowej partii Salome — z pięknym tańcem układu Witolda Borkowskiego wystąpiła młodziutka i śliczna **Iwona Błaszczyk**.

W rolach Oratorów słyszeliśmy aktorów Teatru Powszechnego **Eugeniusza Kamińskiego** i **Zbigniewa Niewczasa**.

*) „Tragedyja albo rzecz o Janie i Herodzie". Muzyka i libretto Romuald Twardowski. Adaptacja sceniczna, inscenizacja i reżyseria — Roman Sykała. Scenografia — Marian Stańczak. Choreografia — Witold Borkowski. Konsultacja historyczno-literacka — Julian Lewański. Teatr Wielki w Łodzi, premiera 26.IV. 1969 r.

Władysław Malczewski jako Jan. *Fot. A. Wach*

PÓŁKA z książkami

PASJONUJĄCA GRA

Po książce „Tiergarten", mówiącej o polskim wywiadzie w hitlerowskim Berlinie — Stanisław Strumph-Wojtkiewicz wydał w tych dniach nową pozycję o niebezpiecznych i pasjonujących „grach wojennych". Lubimy takie książki i są one potrzebne. Dla czego lubimy — udowadniać nie trzeba. A że są potrzebne? Wciąż jeszcze zbyt mało wiemy o wkładzie Polaków w zwycięstwo nad hitleryzmem — a ten wkład to nie tylko trud bitewny, ale także cicha i niewdzięczna praca wywiadu, działanie na zapleczu wroga.

„Gra wojenna" opowiada o polskim Ruchu Oporu we Francji w latach 1940—1944. Rzecz jest co prawda lekko beletryzowana, ale tylko na tyle, aby nie stała się dokumentalną „ceglą". Fakty, nazwiska nawet, wydarzenia i akcje są w książce Wojtkiewicza autentyczne. „Gra" opowiada jak było — a nie jak być mogło. Jest książką o losach i zdarzeniach prawdziwych i bohaterskich — jest zatem książką potrzebną. Nie trudno też przewidzieć, że będzie to książka czytana i podobnie jak „Tiergarten" na pewno doczeka się następnych wydań. Zwłaszcza, że nakład 20 tys. egzemplarzy wydaje się zbyt mały dla rynku czytelniczego, który jest szczególnie chłonny jeśli chodzi o ciekawą i odkrywczą poznawczo literaturę faktu mówiącą o wojnie.

„Gra wojenna" jest już drugą (po „Tiergarten") książką Strumph-Wojtkiewicza mówiącą o tajemniczej i wciąż do końca nie wyjaśnionej sprawie majora Sosnowskiego — ułana i asa wywiadu. Ale i w tej książce nie powiedziano wszystkiego na ten temat. Miłośnicy pisarstwa Wojtkiewicza czekają — tak sądzę — na książkę w której ta dramatyczna historia — oczyszczona z plotki i legendy — opowiedzia na będzie do końca.

Stanisław Strumph-Wojtkiewicz „Gra wojenna". PIW — 1969 cena 30 zł.

PARTIA SZACHÓW

Szachy były już niejednokrotnie motywem literackim. W książce Icchokasa Merasa partia szachów, będąca osnową, ramą fabularną — nabiera cech przerażających. Narrator — młody Żyd, zamknięty w wileńskim getcie rozgrywa partię, której ceną jest życie... Za przeciwnika ma bowiem komendanta Schogera.

W tej ramie fabularnej, w tej rozgrywce od „Początku" aż po „Ruch ostatni" mieści się całe życie mieszkańców getta. Pełna napięcia i głęboko wzruszająca gra — opowieść mieści w sobie i pomoc niesioną Żydom przez Polaków i Litwinów, miłość i nienawiść, zwątpienia i wzloty, ofiary i załamania — ukazuje ludzi walczących, nie dających się złamać.

Między jednym a drugim ruchem szachowych figur toczy się gra prawdziwa — o przetrwanie, o życie, o ludzką godność. Między jednym a drugim ruchem toczy się zamknięty, skazany na zagładę świat getta. Jaki będzie finał tej gry?

Niewielka, 150-stronicowa powieść Merasa napisana jest z ogromną maestrią — nie dziwi przeto notka wydawcy o licznych przekładach na języki obce. Bo rzeczywiście — litewski pisarz do tematu martyrologii Żydów dołączył swą książkę przemawiającą z wielką siłą.

Icchokas Meras „Gra o życie". PIW, cena 10 zł.

TADEUSZ ŻAKOWIECKI

Artur Grottger artysta i patriota

Niezbyt chętnie sięgam po książki biograficzne. Zdaję sobie sprawę, że każdy autor jest w tym wypadku ograniczony wieloma rygorami, że trudno mu podejmować ambitniejsze próby odkrywania zakamarków psychiki i duszy, trudno mu wyjść poza wyeksploatowane schematy zwykłego, rozbudowanego życiorysu, poza najprostsze, tuzinkowe konflikty. Historia literatury uczy, że nawet najlepiej napisane dzieje ludzi sławnych nie stanęły na najwyższych szczytach prozy, nie odegrały poważniejszej roli w rozwoju literatury. (Mam oczywiście na myśli biografie — nie autobiografie, w wypadku których pojawiały się naprawdę niezwykłe osiągnięcia).

Kiedy jednak zdarzy mi się otworzyć powieść biograficzną — odrzucam wszelkie uprzedzenia. Wciągają mnie po prostu fakty, zaczyna imponować pracowitość i dociekliwość autora, który musiał przesiadywać w bibliotekach i muzeach całe miesiące, a może nawet lata, szperać w ogromnych stosach książek i listów, doszukiwać się źródeł, motywów, rozszyfrowywać niejasne związki.

Zaimponowała mi również powieść Ludwika Świeżawskiego o Arturze Grottgerze *). Przedstawia w niej autor dzieciństwo i wczesną młodość wielkiego artysty, a więc ten okres życia, w którym kształtują się zainteresowania, poglądy, którego doświadczenia mają wpływ na późniejsze losy i działanie człowieka.

Dzieciństwo Grottgera upływało wprawdzie w sielskiej atmosferze zamożności, ale przesycone było żywą tradycją walki o wyzwolenie narodowe. Wychowywał się w szlacheckim dworku na ziemi lwowskiej pod opiekuńczymi skrzydłami matki, rozmiłowanej w muzyce i śpiewie, oraz ojca, rotmistrza ułanów, uczestnika powstania listopadowego, a przy tym malarza-amatora, absolwenta akademii malarskiej w Wiedniu. Świeżawski eksponuje te momenty dzieciństwa Grottgera, które łączyły go z tradycją powstania, które wciągały go w nurt spraw związanych z Wiosną Ludów, które ukształtowały w jego twórczości ideę miłości Ojczyzny i heroizm powstańczych zrywów postępowej części naszego narodu.

Młodość Grottgera, to typowy obraz polskiego studenta-artysty korzystającego z niewielkiego stypendium, borykającego się z biedą i zbierającego wiele innych przykrych doświadczeń. Przy opisywaniu tego okresu życia artysty autor „Muzy łaskawej" podkreśla pracowitość Grottgera, jego odporność na złe wpływy wielkomiejskiego życia, jego twórczy zapał, niezależność myśli i poglądów na funkcję sztuki.

Chociaż w okresie studiów na akademii w Wiedniu Grottger ma głowę zaprzątniętą najczęściej problemami zdobycia pieniędzy na zakup zwykłego chleba i drewna do ogrzewania pracowni, to jednak nie zrywa kontaktu z ideą walki o wyzwolenie narodowe. Wprawdzie dla korzyści materialnych maluje szyld nad sklepikiem, ale równocześnie w głównym nurcie jego twórczości pojawiają się ciągle motywy sławiące dzieje zwycięstw polskiego oręża.

Biografia Ludwika Świeżawskiego o Grottgerze to książka nie tylko opisująca życie wielkiego artysty. Kryje ona w sobie także znaczne walory wychowawcze. Jan Huszcza, z którym rozmawiałem o „Muzie łaskawej", powiedział, że jest to powieść, którą należałoby zalecać przede wszystkim młodzieży.

Jestem pewien, że Jan Huszcza ma słuszność. Ale nie wiem, czy cena książki — wydanej zresztą bardzo starannie, na niezłym papierze i w twardej okładce — jest dostatecznie niska, aby bez wyrzutów sumienia zalecać ją ludziom młodym.

„Muza łaskawa" jest powieścią opisującą życie Grottgera tylko do czasu powstania styczniowego. Z informacji na skrzydełku książki dowiadujemy się, że Świeżawski przygotowuje następną książkę o Grottgerze — „Biel i czerwień" — obejmującą powstanie styczniowe, okres późniejszy oraz dzieje wielkiej miłości artysty do Wandy Monne. Być może ta druga część opowieści o życiu Grottgera będzie łatwiej dostępna szerokim masom młodzieży, na co chyba pozwoli nakład 10 tysięcy egzemplarzy.

Jeszcze uwaga: w „Muzie łaskawej" zamieszczone są reprodukcje dzieł Artura Grottgera. Niestety, jakość tych reprodukcji nie jest najlepsza, co świadczy nie tylko o złym stanie naszych urządzeń poligraficznych, ale i o nonszalancji ludzi wykonujących te reprodukcje.

*) Ludwik Świeżawski: MUZA ŁASKAWA. Wydawnictwo Łódzkie 1968; str. 430, cena 40 zł.

CYWILIZACJA a CHOROBY PSYCHICZNE

Rozmawiamy z Prezesem Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej, prorektorem AM profesorem dr Stanisławem Cwynarem

Odgłosy: Towarzystwo Higieny Psychicznej ma w naszym kraju wieloletnie tradycje. Czym zajmowało się ono w początkach istnienia?

Prof. Stanisław Cwynar: W czasach gdy zaczął się ruch na rzecz higieny psychicznej, czyli przed z górą trzydziestu laty, sprawa odpowiedniego traktowania ludzi chorych psychicznie była poważnym problemem. W zakładach psychiatrycznych panowała wówczas surowa dyscyplina i prawie więzienny rygor. Wobec chorych stosowano rozmaite kary. Takie podejście nie sprzyjało leczeniu ale mimo to bywały rzadkie wypadki samoistnych wyleczeń. Założycielem towarzystwa higieny psychicznej był pacjent — ozdrowieniec, który tą drogą zamierzał poprawić warunki szpitalnego leczenia chorych i ich sytuację w społeczeństwie.

Idee higieny psychicznej przeniósł na grunt polski prof. Kazimierz Dąbrowski. Z jego inicjatywy powstał Instytut Higieny Psychicznej, który był pierwszą w Polsce placówką psychiatrycznego lecznictwa otwartego. Zakres działania Instytutu nie był jednak szeroki.

Odgłosy: Zapoczątkowana przed wojną działalność została reaktywowana. Czy przemiany jakie dokonały się w naszym kraju wpłynęły na zmianę zainteresowań Towarzystwa?

Prof. St. Cwynar: W miarę rozwoju kraju zmieniał się kierunek naszej pracy. W roku 1950 zostały w Polsce zorganizowane poradnie zdrowia psychicznego. Cały kraj został objęty działalnością otwartego lecznictwa psychiatrycznego.

W miarę dokonywania się przeobrażeń społecznych powiększał się zakres działania Towarzystwa Higieny Psychicznej.

Odgłosy: Czym się obecnie zajmuje Towarzystwo?

Prof. St. Cwynar: W środowiskach społecznych istnieją stale możliwości powstawania urazów psychicznych. Możliwości te potęguje gwałtowny rozwój cywilizacji. Nasze towarzystwo pracuje w dziesięciu sekcjach problemowych zajmując się zarówno zagadnieniami prawidłowego wychowywania dzieci i młodzieży, stosunkami międzyludzkimi w zakładach pracy jak i psychoprofilaktyką przestępczości, zagadnieniem zapobiegania nałogom, psychohigieną wieku starczego itp. W kręgu naszych zainteresowań jest również problematyka związana z rehabilitacją ludzi chorych psychicznie.

Odgłosy: Jak Towarzystwo realizuje te rozliczne zadania?

Prof. St. Cwynar: Działalność Towarzystwa to prowadzenie badań naukowych, popularyzacja wyników tych badań oraz wprowadzanie ich w życie. Członkiem może zostać każdy obywatel naszego kraju posiadający dyplom ukończenia studiów wyższych. Wśród naszych członków są więc specjaliści z różnych dziedzin, bardzo wielu reprezentuje wybitne uzdolnienia i ogromną wiedzę. Dorobek badawczy tych ludzi popularyzujemy poprzez wydawanie własnych czasopism. Wydajemy trzy tytuły: „Zagadnienia Wychowawcze w Aspekcie Zdrowia Psychicznego" z przeznaczeniem dla szkół, czasopismo: „Humanizm pracy" poświęcone problematyce stosunków międzyludzkich w zakładach pracy, oraz periodyk: „Zdrowie Psychiczne" traktujący o zagadnieniach związanych z rehabilitacją ludzi dotkniętych urazami psychicznymi.

Odgłosy: Łódzki Oddział Towarzystwa, obok Krakowa i Katowic, jest bardzo aktywny. Czy problematyka przemysłowej Łodzi znajduje swoje odbicie w działalności Oddziału?

Prof. St. Cwynar: Przemysł lekki stwarza wyjątkowe możliwości dla prowadzenia rozmaitych badań i eksperymentów. Środowisko łódzkie ma spore osiągnięcia w poszukiwaniach naukowych metod psychoterapii i psycho-profilaktyki. Prowadzimy badania nad psychoterapią pracy. Wdrożenie do pracy ludzi ze schorzeniami psychicznymi znacznie ogranicza nawroty choroby. Badania nad skutecznością psychoterapii pracy pozwalają też stwierdzić, że ludzie z urazami psychicznymi potrafią wcale nie gorzej pracować od ludzi psychicznie zdrowych. W jednej ze spółdzielni pracy przeprowadziliśmy eksperyment umieszczając we wspólnej sali grupę ludzi zdrowych psychicznie razem z grupą schizofreników. Po wdrożeniu się do pracy schizofrenicy pracowali znacznie wydajniej od psychicznie zdrowych.

Odgłosy: Skuteczną terapią zapobiegającą nawrotom choroby jest więc praca. Jak wygląda wobec tego sprawa praktycznego zastosowania wyników tych badań?

Prof. St. Cwynar: Łódzki Oddział THP współpracuje z Towarzystwem Psychiatrycznym, Towarzystwem do Walki z Kalectwem i Związkiem Inwalidów Spółdzielni Pracy. Wynikiem tej współpracy jest powiększająca się z roku na rok liczba miejsc pracy w inwalidzkich spółdzielniach pracy dla pacjentów szpitali psychiatrycznych i poradni zdrowia psychicznego.

Odgłosy: Ile osób korzysta z tej formy rehabilitacji?

Prof. St. Cwynar: Aktualnie spółdzielnie inwalidzkie zatrudniają 500 osób z urazami psychicznymi. Na terenie naszego miasta jeszcze około 1200 osób czeka na nowe miejsca pracy.

Odgłosy: A jak ten problem rozwiązuje się w innych krajach?

Prof. St. Cwynar: Nie wszędzie prowadzi się badania nad psychoterapią pracy, ale na przykład w Anglii istnieje ustawowy obowiązek rezerwowania w fabrykach 3 proc. miejsc dla osób dotkniętych chorobami psychicznymi. Podobny przepis prawny przydałby się i u nas. Powstałaby w ten sposób możliwość przywrócenia społeczeństwu sporej grupy ludzi obecnie nieproduktywnych, korzystających z rent i rozmaitych form pomocy państwa. U chorych, którzy nie pracują, trzykrotnie częściej występują nawroty choroby i konieczność leczenia szpitalnego niż u pacjentów pracujących.

Odgłosy: Polska jest jedynym krajem państw socjalistycznych, w którym działa organizacja zajmująca się problematyką higieny psychicznej. Czy pracami Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej interesują się nasi sąsiedzi?

Prof. St. Cwynar: W ostatnich latach obserwujemy duże zainteresowanie problematyką higieny psychicznej ze strony Związku Radzieckiego, Węgier i Czechosłowacji.

W roku 1966 odbył się w Pradze europejski zjazd towarzystw higieny psychicznej, na którym padł projekt stworzenia zespołu socjalistycznych towarzystw higieny psychicznej. Sądząc z obecnego zainteresowania wymienionych państw tą ideą, należy przypuszczać, że pomysł doczeka się realizacji. Obecnie w periodykach ukazujących się w Związku Radzieckim pojawiają się na przykład artykuły zapowiadające zorganizowanie tego typu towarzystwa w ZSRR. Sprawa organizowania towarzystwa higieny psychicznej w Związku Radzieckim na pewno będzie omawiana na czerwcowym zjeździe psychiatrów radzieckich w Moskwie.

Odgłosy: Jakie będą kierunki rozwoju Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej w najbliższych latach?

Prof. St. Cwynar: Wraz z rozwojem psychiatrii działalność w dziedzinie higieny psychicznej rozwija się również. W pierwszych latach powojennych mieliśmy w Polsce zaledwie 90 lekarzy psychiatrów, dziś jest ich już ponad 1200. Obecnie są bardzo sprzyjające warunki dla rozwoju Towarzystwa m. in. i dlatego, że psychiatria kieruje swoje zainteresowania na problemy związane z przemysłem.

Zainteresowanie pracami Polskiego Towarzystwa Higieny Psychicznej rośnie. My ze swej strony nasilamy akcję propagandowo-popularyzatorską i organizacyjną. Naszym zamiarem jest rozwinięcie działalności na terenie całego kraju. Dotychczas posiadaliśmy swoje oddziały w Warszawie, Łodzi, Katowicach, Krakowie i Radomiu. W marcu bieżącego roku zorganizowaliśmy trzy nowe oddziały Towarzystwa: w Białymstoku, Lublinie i Gdańsku. W czasie nowej, dwuletniej kadencji zamierzamy zorganizować oddziały we wszystkich miastach wojewódzkich w kraju. W naszych planach przewiduje my również zorganizowanie kontaktów z podobnymi towarzystwami zagranicznymi.

Rozmawiał
Maciej Zdzienicki

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

LITERATURY POLSKIEJ WĘDRÓWKI PRZEZ ŚWIAT

Tworzywo językowe, w którym ukształtowane jest każde dzieło literackie, wyznacza mu z góry granice zasięgu oddziaływania. Znajomość języka, w którym dany utwór jest napisany stanowi zasadniczy próg, który przekroczyć nietatwo. Gdy w grę wchodzą książki pisane w językach tzw. światowych — angielskim, francuskim, niemieckim, rosyjskim, hiszpańskim — nie odczuwa się dotkliwie tego progu. Setki milionów ludzi może je czytać w oryginale.

Inna sprawa z językiem takim jak polski, którym włada zapewne niewiele więcej niż 1 proc. mieszkańców kuli ziemskiej, i który jest dla literatury naszej naturalnym ograniczeniem. Próg językowy, którego nie zna na przykład plastyka, stwarza wielkie trudności w procesie włączania się literatury polskiej do ogólnoświatowego dorobku w tej dziedzinie.

Pozostają przekłady. Oczywiście. Ale tu pojawiają się dwie nowe przeszkody. Pierwsza, immanentna dla wszelkiej działalności przekładowej, to niemożność uzyskania tłumaczenia adekwatnego, identycznego z dziełem oryginalnym. Traduttore traditore, tłumacz jest zdrajcą — mówi porzekadło włoskie. Utwór literacki przeobleczony w szatę innego języka — choćby najlepiej! — staje się właściwie nowym dziełem, co najwyżej podobnym.

Tej pierwszej trudności przezwyciężyć się nie da. Literatura polska skazana jest na rozpowszechnianie w świecie tylko drogą przekładów. Zwalczać można natomiast drugą przeszkodę, którą jest niedostateczna informacja o naszej literaturze, a co za tym idzie słabe nią zainteresowanie tłumaczy, wydawnictw zagranicznych i zagranicznego czytelnika. Na tym odcinku jest wiele do zrobienia, choć już niemało się zrobiło.

Ostatnie dziesięciolecie charakteryzuje się poważnym wzostem zainteresowania literaturą polską w świecie. Przekracza ono znacznie rozmiarami pierwsze kilkanaście lat powojennych, a tym bardziej okres międzywojenny. Zwiększyła się ilość przekładów, rozszerzył się geograficzny zasięg oddziaływania naszej literatury.

Do nowych terenów, na których rodzi się zapotrzebowanie na książkę polską, należy np. Japonia, gdzie przez ponad dwadzieścia lat po wojnie zainteresowanie naszą literaturą było iemal zerowe, a w ciągu ostatnich dwóch lat wydano kilkanaście pozycji przekładowych. Odłogiem leżała do niedawna Ameryka Łacińska, a ostatnio wyczuwa się zapotrzebowanie na antologie naszej literatury, jak i na poszczególne pozycje książkowe, m. in. na satyrę.

W roku ubiegłym zajmująca się tymi sprawami Agencja Autorska, na ogólną ilość 450 umów zawartych z zagranicznymi kontrahentami w zakresie różnych rodzajów sztuki, podpisała ponad dwieście umów na przekłady polskiej literatury książkowej i dramatycznej — teatralnej, radiowej i telewizyjnej. 60 proc. tych umów zawarto z krajami obozu socjalistycznego, resztę z krajami świata kapitalistycznego. Największym odbiorcą literatury polskiej w świecie jest Związek Radziecki, za nim idzie Czechosłowacja, niemiecki obszar językowy (NRD, NRF, Austria, Szwajcaria), Węgry i Jugosławia.

Z ciekawszych przykładów rozpowszechniania naszej literatury w świecie wymienić można takie ubiegłoroczne edycje książkowe, jak „Antologia współczesnej prozy polskiej" wydana w Meksyku w opracowaniu Sergio Pitola, „Spiżowa brama" Brezy w NRD, „Listy do Delfiny" Zygmunta Krasińskiego, „Moja córeczka" Różewicza i „Medaliony" Nałkowskiej — w NRF.

Rośnie znacznie popyt na polski dramat. W 1968 roku wystawiono za granicą następujące sztuki naszych dramatopisarzy: „Kondukt" i „Klatka" Drozdowskiego w Anglii, „Skandal w Hellbergu" Broszkiewicza w NRD, „Niemcy" Kruczkowskiego w Jugosławii, „Garść piasku" Przeździeckiego w Szwecji, „W czepku urodzona" Skowrońskiego w Jugosławii, „Moralność pani Dulskiej" Zapolskiej w CSRS i w NRD. Rekordy bila pod tym względem twórczość Różewicza, którego „Świadkowie" wystawieni byli w Austrii i NRF, „Wyszedł z domu" w Austrii i Francji, „Akt przerywany" w NRF i Włoszech. „Kartoteka" we Włoszech.

W tymże roku podpisano umowy na „Akt przerywany" z Francją, a na „Świadków" i „Śmiesznego starusz ka" z Włochami. Radio czeskie i japońskie podpisało umowy licencyjne na „Czapę" Janusza Krasińskiego, radio francuskie na „Dwa teatry" Szaniawskiego, a radiofonia czeska, jugosłowiańska i zachodnioniemiecka na „Agenta z Vaduz" Szypulskiego. „Nocna opowieść" Choińskiego nadana będzie w radiu i telewizji NRD oraz wystawiona w teatrach w Bułgarii i NRD.

Umowy na przekłady książkowe zawarło z nami w 1968 roku 6 krajów socjalistycznych i 23 kraje kapitalistyczne (m. in. Japonia — 7 pozycji, NRF, Brazylia, Stany Zjednoczone). Najczęściej powtarza się nazwisko Stanisława Lema — 10 umów, a dalej Kazimierza Brandysa — 4, Buczkowskiego, Fiedlera, Filipowicza, Putramenta i Różewicza — po 3, Iwaszkiewicza — 2.

Można oczywiście, zastanawiać się, czy do rąk zagranicznego czytelnika trafia wszystko to co wartościowe w naszej literaturze i czy nie tłumaczy się czasem pozycji o mniejszej, czy wręcz miernej wartości. Na to nie mamy decydującego wpływu, sprawę przesądza gust tłumacza i wydawcy oraz ich rozeznanie rynku. Na ogół jednak sprawy nie wyglądają źle. Tłumaczy się przeważnie dobrą literaturę, choć jest także zapotrzebowanie na pozycje o charakterze lżejszym, książki sensacyjne i rozrywkowe.

Dotychczasowe osiągnięcia nasze w dziedzinie przekładów są w dużej mierze zasługą żywej działalności Agencji Autorskiej. Zadaniem jej jest przede wszystkim dbałość o właściwe środki informacji dla zagranicy. Przy agencji istnieje biuro usług dla tłumaczy, które utrzymuje stały kontakt korespondencyjny z 200 najwybitniejszymi tłumaczami z języka polskiego. Biuro dostarcza im książek, czasopism, słowników oraz innych materiałów informacyjnych.

Również do ważniejszych wydawnictw zagranicznych i agencji wysyła się wydawnictwa Agencji Autorskiej takie jak „Polish Literature — Litterature Polonaise", „Bulletin des Livres Nouveaux", oraz wydawane sporadycznie przeglądy prozy (np. „Revue de la prose polonaise 1964—1967" W. Maciąga, w którym omówiono 90 pozycji książkowych), czy dramatu.

Ważną funkcję propagandową ma do spełnienia wystawa polskiej literatury, zawierająca 1300 przekładów. Była ona czynna w ubiegłym roku w Londynie w wielkiej hali wystawowej i spotkała się tam z żywym zainteresowaniem. Dyrektor naczelny Agencji Autorskiej, znany pisarz Michał Rusinek, wygłosił przy tej okazji odczyt o literaturze polskiej.

Wystawa po zamknięciu wróciła do kraju, po czym wywędrowała ponownie do Włoch, gdzie w kwietniu br. odbyło się jej otwarcie w Mediolanie. Po Mediolanie, który jest centrum wydawniczym Włoch, przewiezie się ją do Padwy i Rzymu, a jesienią — na zaproszenie syndykatu wydawców francuskich — do Praryża.

W planach Agencji Autorskiej przewiduje się zorganizowanie II zjazdu tłumaczy literatury polskiej. Pierwszy taki zjazd, który odbył się w 1965 roku w Warszawie, przyczynił się do znacznego ożywienia w kontaktach z tłumaczami z ponad 20 krajów.

W taki sposób — powoli, ale systematycznie — literatura polska toruje sobie drogę przez świat.

KONRAD FREJDLICH

Liryczny Klasztor

PO IV OGÓLNOPOLSKIM FESTIWALU POEZJI

Zakończył się więc Ogólnopolski Festiwal Poezji, czwarty już z kolei, ufundowany przez Łódź całemu krajowi. Muzy uwiły sobie wdzięczne gniazdko w sali posiedzeń Rady Narodowej na Piotrkowskiej szczęśliwie zwyciężając konkurencję. Chociaż bowiem równocześnie na południu Polski odbywała się Kłodzka Wiosna Poetycka, do Łodzi zjechali licznie wybitni poeci i krytycy i obrady największego poetyckiego zgromadzenia mogły się szczęśliwie rozpocząć. Przyszło wprawdzie pokonać jeszcze jedną przeszkodę: choroby, które upodobały sobie jurorów. Nie przybył więc Jarosław Iwaszkiewicz oraz Kazimierz Wyka, który miał wygłosić ważki referat „Pół wieku poezji polskiej 1918—1968". Ale jury, choć uszczuplone, uporało się z werdyktami, a Kazimierza Wykę zastąpił w wielkiej improwizacji Artur Sandauer, który z właściwym sobie temperamentem, głośno myśląc, zastanawiał się nad osobistą i historyczną sytuacją poety, poprzez przykłady katastrofistów (Czechowicz, Miłosz) przechodząc do analizy zjawisk najnowszych w naszej poezji (Szymborska, Herbert, Bryll). Temperament Artura Sandauera udzielił się następnie dyskutantom, co wpłynęło na znaczne ożywienie wymiany poglądów, a przecież na sali obrad, obok twórców wszystkich pokoleń, siedzieli licznie reprezentowani bibliotekarze, studenci, działacze kultury i anonimowi miłośnicy poezji.

Na żywy przebieg dyskusji wywarły niewątpliwie wpływ także referaty przewidziane programem. Zwłaszcza wystąpienie Andrzeja Lama za tytułowane „Awangarda poetycka wczoraj i dziś" podniosło temperaturę obrad, bo sprawa nowej wrażliwości lirycznej, nowej wyobraźni i języka pozostaje mimo wszystko centralnym problemem poezji a hasło przeciwstawienia się całej dotychczasowej sztuce, szukania nowych, nie odkrytych jeszcze dróg ma wciąż atrakcyjną siłę, przynajmniej gdy idzie o programy, bo z praktyką poetycką bywa rozmaicie.

Nie bez znaczenia był tak że referat Michała Sprusińskiego pt. „Poezja polska 1945—1968. Znaki niepokoju i imiona prawdy". Powierzenie tak odpowiedzialnego tematu przedstawicielowi najmłodszej krytyki okazało się celowe, Sprusiński wyszedł bowiem poza hierarchizowanie zjawisk poetyckich w Polsce Ludowej dając w zamian ich opisanie. Był to zresztą opis na tyle wyważony, że nie budził niczyich sprzeciwów. Dopiero gdy Sprusiński, pozazdrościwszy widocznie swady Sandauerowi, już niejako poza konkursem, improwizując nazwał twórczość Brylla poezją dworską, zauważyć można było pierwsze oznaki niepokoju na twarzy zasiadającego w prezydium profesora Jana Zygmunta Jakubowskiego. Profesor „bryllował" potem czas jakiś na mównicy biorąc w obronę niewątpliwie interesującą poetykę Ernesta Brylla.

Przytaczamy ten obrazek z sali obrad, aby uprzytomnić wszystkim, którzy mogli obejrzeć zaledwie kilkunastosekundowe migawki telewizji z Festiwalu, atmosferę poetyckiego zjazdu. Dyskusja, którą otworzył głos Mariana Piechala wypowiadającego się na temat wzajemnych relacji pomiędzy poezją a rzeczywistością, rzeczywistością, która inspiruje przecież twórcę, przez cały czas trwania Festiwalu nie traciła ani na sile, ani na znaczeniu. Niektórzy mówcy przygotowali sobie zresztą na piśmie jakby koreferaty, precyzyjnie uzupełniając problemy, które nie pomieściły się w referatach zamówionych przez organizatorów. Bogdan Ostromęcki na przykład przeciwstawił poezji konwencji, poezji stylizacji — poezję żywą, tę poezję, która jest reakcją na życie nas otaczające. Zresztą nurt dyskusji zapoczątkowanej głosem Mariana Piechala przewijał się przez całe obrady.

Podjął ten nurt w interesujący sposób Jan Koprowski, zastanawiając się już nie tylko nad miejscem poezji w życiu, ale i poety w społeczeństwie. Mimo niewątpliwego wzrostu zainteresowania poezją w Polsce Ludowej daje się zaobserwować zjawisko bardzo niepokojące: nakłady tomików wierszy są tak niskie, że bez przesady można mówić o „poetyckim podziemiu". Na stan ten wpływa nie tylko „hermetyczność" nowej poezji i nie można go tłumaczyć samą trudnością odbioru, bo poetyka nie ma wpływu na zamówienia składane przez „Dom Książki". Ale jest to sytuacja, która musi niepokoić tym bardziej, że poezja najmłodsza, fala debiutów, którą obserwujemy niemal co tydzień w prasie literackiej, rzadko tylko wychodzi poza poprawność.

Na usprawiedliwienie tych najmłodszych trzeba jednak dodać, że krytyka okazjonalnie i bardzo przypadkowo zajmuje się ich twórczością. Nawet referat Sprusińskiego operujący granicą czasową po rok 1968 w gruncie rzeczy zawierał egzemplifikacje sprzed lat dwunastu i chociaż wszelkie przedziały między pokoleniowe są w gruncie rzeczy sztuczne, należało może wyodrębnić debiuty lat ostatnich jako temat oddzielnego referatu. Odkąd Julian Rogoziński przestał się zajmować rozpieszczanymi zresztą przez siebie „wnuczętami", nikt już nie poświęca im zupełnie uwagi. Podniósł ten problem w dyskusji Jan Witan cytując dowcipnie wiersz Wincentego Fabera „Klasztor liryczny" stanowiący niejako komentarz do sytuacji najmłodszych. „Kryterium drukowalności utworu", którym posługują się redakcje czasopism a często i wydawcy, okazuje się najczęściej zawodne i ciekawe utwory młodych rozpływają się w potokach magmy poetyckiej, której nikt już nie jest w stanie śledzić.

Podobne akcenty znaleźć można było w wystąpieniu Wojciecha Roszewskiego, były one także w przemówieniach innych mówców, chociaż u najmłodszych jak Bieriezin, Biskupski czy Skibiński przejawiły się skłonności do teoretyzowania, co świadczy o ambicjach poszukiwań programowych.

Wzruszające było wystąpienie sędziwego malarza Konstantego Mackiewicza, który z werwą i przejęciem bronił poetów i w ogóle artystów przed zbyt pośpiesznym osądem krytyki. Wywołało to wystąpienie znaczące sprostowanie Artura Sandauera, który podkreślił, że wrogiem artysty nie jest krytyk w ogóle, tylko zły krytyk. A kiedy Jerzy Poradecki zaczął gromić fetysze utrudniające wartościowanie zjawisk poetyckich i utrudniające ich społeczny odbiór, Sandauer Poradeckiemu demonstracyjnie potakiwał, a nawet podpowiadał półgłosem przykłady.

Potem, kiedy odczytano werdykt jury, przyszedł czas tryumfu dla poetów. Uznanie tomiku Wisławy Szymborskiej „Sto pociech" za najwybitniejszą książkę poetycką XXV-lecia wywołało żywiołowy entuzjazm publiczności. Julian Rogoziński, który nie zabierał głosu w dyskusji, pobłażliwie wysłuchując skargi wnucząt na krytykę, gwałtownie się zaktywizował przy ceremonii wręczania nagród. Oto nieoczekiwanie dla wszystkich schwycił ze stołu prezydialnego ogromny wazon pełen goździków i postawił przed laureatką.

Nie będziemy tutaj przytaczać protokołu jury o nagrodach IV Ogólnopolskiego Festiwalu Poezji, zrobiła to już prasa codzienna, zrobiliśmy to już zresztą i my drukując tydzień temu komunikat. Kończąc jednak to quasi — sprawozdanie z łódzkiego zjazdu trudno się oprzeć refleksji, teraz zwłaszcza, kiedy się wszyscy rozjechali do domów, kiedy muzy opuściły Łódź na cały rok, narzucającej się szczególnie wyraźnie. Zbyt rzadko poezja towarzyszy nam na co dzień w naszym życiu, częściej przebywa w jakimś lirycznym klasztorze, jak w wierszu Fabera, czy może w wieży z kości słoniowej, jak powiadało się dawniej. I trzeba ją będzie z tego klasztoru wyprowadzić. Już nie tylko na dwa festiwalowe dni, kiedy zdobywała kluby i świetlice, kiedy mówiono o niej w tramwajach i pokazywano migawki z Festiwalu w telewizji. Trzeba ją będzie z tego klasztoru wyprowadzić na zawsze.

TELEOBIEKTYW

Przepis na rozrywkę

Tytułu tego felietonu nie trzeba brać zbyt dosłownie. Przepisu na rozrywkę telewizyjną być nie może. Wszelkie schematy, nawet te najlepiej obmyślone, po pewnym czasie zaczynają nużyć.

Niekoniecznie zresztą musi tak obfitować w pomysły i gagi jak show Gruzy i Fedorowicza „Małżeństwo doskonałe". Wiadomo, że koncepty nie rodzą się na kamieniu i że czasem trzeba nimi szafować oszczędnie, żeby się nie wyjałowić. Stąd rzadkie stosunkowo pojawianie się tego rodzaju pozycji na małym ekranie.

Czasem zresztą program oparty o pomysł skromniejszy prowadzi również do pełnego sukcesu i do satysfakcji telewidzów. Można to zilustrować przykładem nadanego w dniu 1 maja programu „Z wizytą u was". Z czystym sumieniem zaliczyć go możemy do imprez udanych, choć nie towarzyszyły mu rewelacyjne pomysły.

Spróbujmy więc prześledzić, na czym polegały silne strony tego widowiska i wyprowadzić z tego ogólniejsze wnioski.

Program zgromadził na estradzie całą plejadę znakomitych wykonawców. Przede wszystkich asem atutowym była światowej sławy, wręcz legendarna ciemnolica śpiewaczka francuska Josephine Baker, która zaprezentowała świetny głos, wybitne aktorstwo i nie przemijającą młodość. A obok niej niezawodna Irena Kwiatkowska, Irena Santor, Maria Koterbska, duet taneczny B. Olkusznik — S. Szymański, że wymienię najlepszych tylko z plejady solistów, oraz orkiestra PR i TV pod dyrekcją S. Rachonia i imponujący balet. Taka mobilizacja gwiazd jest kosztowna? Z pewnością. Ale cóż znaczą te koszty wobec wielu milionów usatysfakcjonowanych widzów w kraju?

Myślę, że mogę już formułować...

...WNIOSEK I: telewizyjne programy rozrywkowe muszą mieć zagwarantowaną możliwie najlepszą ekipę wykonawców. Przeciętność lub słaby poziom demaskuje się na małym ekranie natychmiast i wywołuje u widza rozczarowanie.

Oczywiście, najlepsze nawet siły wykonawcze nie pomogą, jeśli programu nie wypełni się dobrymi tekstami i ładnymi melodiami. To nic, że niektóre z nich, jak w wypadku programu z „Wizytą u was", są dobrze znane z ekranu, radia, czy płyt gramofonowych. Dobrych piosenek nigdy nie jest za dużo. A powtórzenia popularnych melodii mają swój urok. I to byłby...

... WNIOSEK II: dobór melodii i tekstów winien być jak najstaranniejszy, możliwie uniezależniony od tantiemowych interesów redaktorów.

Stale nie docenianym u nas czynnikiem w programach rozrywkowych jest publiczność. Jej udział, wyrażający się w reakcjach na występy, a czasem w różnych formach kontaktu bezpośredniego z widowiskiem (mam na myśli wciąganie publiczności do udziału w zabawie, jak np. u Gruzy i Fedorowicza), przyczynia się do wytworzenia właściwego nastroju. Zaś widzowie przy telewizorach czują się jakby reprezentowani przez publiczność znajdującą się na sali. Doskonale zdaje przy tym egzamin publiczność jednorodna w sensie środowiskowym, jak to miało miejsce w programie „Z wizytą u was". Zadedykowanie widowiska pracownikom FSO było jednym ze źródeł sukcesu. Stąd...

... WNIOSEK III: programy rozrywkowe powinno się organizować z reguły z udziałem publiczności. To podnosi zdecydowanie ich temperaturę.

Wiem, wiem! Wielu czytelników zaczęło się już denerwować, dlaczego przemilczam udział kapitana Klossa — Stanisława Mikulskiego jako prowadzącego program. Nie zamierzam go przemilczeć, schowałem go sobie tylko na zakończenie. Okazuje się, że konferansjerki nie potrzeba prowadzić w sposób wyrafinowany. Wystarczy, jeżeli robi się to prosto, z wdziękiem i ma się mir u publiczności. Nie tylko publiczność lubi Mikulskiego (co tam, lubi! szaleje za nim!), ale i Mikulski lubi swoją publiczność. To wytworzyło w omawianym programie przemiły nastrój obustronnego zrozumienia. I dlatego nasuwa mi się...

... WNIOSEK IV: należy wciągać śmielej do tego rodzaju programów artystów, którzy zaskarbili sobie sympatię publiczności. To może dać lepsze rezultaty niż udział stale powtarzających się, nieco zblazowanych prezenterów.

I to jest mój przepis na program rozrywkowy. **W. O.**

O FILMACH DOBRZE I ŹLE

6 lipca 1918 r. był dniem, w którym ważyły się losy Wielkiej Rewolucji, z perspektywy lat sądząc, rozstrzygały się losy świata. Owego dnia partia lewicowych socjalistów — rewolucjonistów usiłowała dokonać zamachu stanu i odsunąć od władzy Lenina i jego partię.

Wydarzenia 6 i 7 lipca stały się tematem filmu J. Karasika „SZÓSTY LIPCA" opartego na znanej sztuce M. Szatrowa. Cechą podstawową tekstu Szatrowa i filmu Karasika jest fakt, że próba dokumentalnej rekonstrukcji zdarzeń stała się równocześnie interesującym przykładem filmowego dramatu historycznego.

Sukces twórców filmu tkwi nie tylko w tym, że podjęty przez nich temat sam legitymował się głębokim dramatyzmem. Jednym ze źródeł tego sukcesu jest rzetelność wobec kronikalnych faktów i dokumentów i obiektywizm sposobu ich traktowania. 48 godzin z dziejów rewolucji było dla niej godzinami decydującymi, odtworzono je w filmie zgodnie z historyczną prawdą. By oddać prawdę tych chwil, przedstawiono nie tylko przyczyny, przebieg i porażkę buntu lewicowych eserów, lecz także ludzkie charaktery i pasje.

W tym filmowym obrazie rewolucyjnych dni ścierają się idee, to oczywiste, ale idee te tworzą i niosą ludzie. Pokazano zatem w filmie wszystko co było istotne w tamtych chwilach, a więc i wydarzenia, i wzajemne stosunki ścierających się ze sobą sił, i sylwetki wybitnych postaci owych dni. Uczciwa charakterystyka ich postaw stanowi o szczególnych wartościach tego filmu. Tak na przykład przedstawiono w filmie przywódcę partii eserów Marię Spirydonową, kobietę, która miała za sobą piękną rewolucyjną przeszłość, była odważna, inteligentna, błyskotliwa, była piękna i porywająca. W momencie konfliktu, którego bezpośrednią przyczyną stała się różnica poglądów na temat pokoju brzeskiego, Spirydonowa i jej partia okazali się jednakże groźnymi przeciwnikami, których poglądy ideowe i działalność zagrażały zdobyczom rewolucji.

W centrum tej ostrej walki politycznej decydującej o losach młodego Kraju Rad stał oczywiście Lenin. Postać Lenina w tym filmie wypełnia a właściwie uzupełnia dotychczasowe tradycje leninowskich filmów. Reżyserzy i aktorzy odtwarzający postać Lenina, przedstawiając wielkość genialnego wodza, kładli akcent na takie cechy jego charakteru jak dobroć, serdeczność, pewną miękkość usposobienia. W filmie Karasika widzimy Lenina jako człowieka zmęczonego, przytłoczonego wydarzeniami, nawet wątpiącego. Tym większe wrażenie wywołują momenty skupienia i podejmowania decyzji, o których słuszności powie później historia.

Interpretacja postaci Lenina przez Jurija Kajurowa stanowi godną kontynuację koncepcji tej roli w dawnych kreacjach B. Szczukina i M. Sztraucha i nadaje jej rysy, które od tej chwili będziemy chyba odnajdywać w następnych filmach leninowskich, które są jedną z najchlubniejszych tradycji radzieckiej kinematografii.

Omawiany w minionym tygodniu w naszej rubryczce film „Czekając na życie" prowadził nas w ulice londyńskiego przedmieścia i w jego slumsy. W obrazie życia ich mieszkańców trudno było znaleźć choćby odrobinę optymizmu, wiary w możliwość jego odmiany. Dokumentalny trop wiódł nas w rejony rzeczywistości pełnej beznadziei i stagnacji. Tym trudniej poważnie przyjąć film, który znów nas tam wiodąc, otwiera perspektywy pełne szans na odmianę życia podobnych bohaterów. Filmem tym jest „NAUCZYCIEL Z PRZEDMIEŚCIA" w reżyserii J. Clavella.

Film jest opowieścią o młodzieży trudnej i o człowieku, który znalazł do niej drogę. Opowieść to jednak ułatwiona i konwencjonalna, a jej wydarzenia możliwe jedynie w kinie.

Nauczyciel Murzyn znalazłszy się na przedmieściu wśród młodzieży wykolejonej zdoła po pewnej próbie sił duchowych i fizycznych dotrzeć do swych podopiecznych, nawracając ich na drogę dobra, wiary w sens działania, pracy, przyjaźni i solidarności między ludźmi wszystkich ras, a nade wszystko poczucia ludzkiej godności. Zbyt wiele jednak w tym filmie łatwości w owym chwytaniu dobra na użytek codzienny, by można w ów pedagogiczny sukces bez zastrzeżeń wierzyć, by wychowawczy sukces pana Marka Thackeraya uznać za receptę rozwiązującą problemy trudnej młodzieży.

Wiele jednakże w tym filmie pięknych celów i aktów dobroci, wiele wiary w świat i ludzi, by nie poddać się wzruszeniu. Jedno trzeba przy tym podkreślić, — nauczycielem z przedmieścia jest Sidney Poitier, aktor wspaniały, który sprawia, że mimo wszystkich naszych zastrzeżeń wychodzimy z kina wzruszeni i jacyś lepsi, i nucimy znany przebój „To Sir, with love".

EWA NURCZYŃSKA

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

IGRASZKI Z GIOCONDĄ

■ Pewnego dnia — czytamy w tygodniku „Paris-Match" — młodzieniec nazwiskiem Suyeux zrobił na

temat Giocondy film, który bawił całą Francję i otrzymał Złotą Palmę na Festiwalu w Cannes. Suyeux przedstawił Giocondę w najrozmaitszych sytuacjach i rozmaitych wcieleniach. Obecnie ten młodzieniec sporządził książkę-kasetkę i tym razem „uwiązwszy się" na Giocondę. Jest tam Gioconda-poker, Gioconda — gra towarzyska, Gioconda — żarty, a wreszcie seria obrazków stanowiących jakoby test psychologiczny. Podoba ci się Gioconda-syrena? Znaczy to, że lubisz kobiety tajemnicze. Jeśli przypada ci do gustu Gioconda — Amazonka, najpewniej kochasz kobietę żywiołową; chciałbyś poznać bliżej Giocondę-tenisistkę — podobają ci się wszystkie kobiety. Lubisz patrzeć na Giocondę z ręką na tembla ku? Oj! To niedobrze, jesteś chyba trochę sadystą.

WYSTAWA CALDERA

■ Kiedyś Fernand Leger zauważył, ze zdumieniem, że Calder, człowiek o masywnej budowie, ciężkich rękach, stu kilogramach wagi, potrafi wykonywać precyzyjne, delikatne i ruchome dzieła.

W Fundacji Maeght w Saint-Paul-de-Vence odbywa się w dniach 2. IV — 2. VI. br. retrospektywna wystawa dzieł Aleksandra Caldera, począwszy od jego pierwszych prób artystycznych, aż do dzieł z ostatnich miesięcy. Znajduje się tu m. in. słynny „Cyrk", przestrzenna, ruchoma kompozycja, która miała być początkowo jedynie zabawką, a stała się zaczątkiem właściwej dla tego plastyka twórczości artystycznej.

Idea nadania ruchu dziełom plastycznym przyszła Calderowi do głowy po wizycie w pracowni Mondriana. Oglądając barwne prostokąty tego malarza, Calder pomyślał, że byłoby dobrze nadać im ruch. „Chciałbym zobaczyć „ruchome Mondriany" — powiedział sobie i zrealizował podobny pomysł, używając do nadania ruchu, motorka, a ponieważ z wykształcenia jest inżynierem mechanikiem, nie nastręczało mu to większych trudności. Wkrótce jednak znużył się tym. „To ogłupiające — powiedział — ciągle być zależnym od motorka i oliwiarki. Lepiej spełni to zadanie wiatr".

Później Marcel Duchamp nazwie przestrzenne, o ruchomych elementach, dzieła Caldera, mobilami, zaś Arp nieruchome nazwie stabilami. Jednym z najbardziej znanych stabilów Caldera jest gigantyczna kompozycja abstrakcyjna zatytułowana „Człowiek", która była ozdobą światowej wystawy w Montrealu.

Na wystawie Fundacji Maeght znalazły się rozmaite, nieraz bardzo oryginalne i pomysłowo skonstruowane mobile. I tak np. niezmiernie interesująca jest kompozycja składająca się z dwóch kulek, czarnej i białej, które będąc w ustawicznym ruchu potrącają metalowe płytki, wydając harmonijne i podobno przyjemne dla ucha, dźwięki.

Calder jest pierwszym artystą, który na trwałe wprowadził ruch do rzeźby. On sam jednak nie uważa się za twórcę żadnego nowego kierunku.

Oprócz rzeźb, stabilów i mobilów, na wystawie pokazano portrety z drutu np. Józefiny Baker czy Fernanda Legera, oraz rysunki i szkice.

Aleksander Calder z żoną

ZMARŁ HENRI VARNA

■ W wieku lat 81 zmarł w Paryżu aktor i konferansjer, autor ogromnie popularnego przeboju lat 30-tych — piosenki pt. „Gdy zakwitną białe bzy", Henri Varna.

Był m. in. dyrektorem Casino de Paris i teatru Mogador.

Fritz Kuehn: Fontanny w Halle.

MALARZ I RZEŹBIARZ W METALU

■ Elementy aluminiowe jakie od 1966 r. zdobią zewnętrzne ściany budynku ambasady polskiej w Berlinie są dziełem zmarłego dwa lata temu, w wieku lat 57, Fritza Kuehna.

Czasopismo „Les lettres francaises" nazywa artystę malarzem i rzeźbiarzem w metalu, dziennik „Le Figaro" widzi analogię między nim a Lurcatem. Pierwszy wypowiadał się artystycznie w metalu, drugi — w tkactwie.

Dzieła Fritza Kuehna znane są nie tylko w NRD, ale w NRF, krajach skandynawskich, we Włoszech, w Budapeszcie i Zurychu. Do najznakomitszych dzieł artysty należą m. in. Portal-pomnik w Buchenwaldzie, kurtyna dla sceny opery w Dortmundzie, dekoracje w restauracji „Moskwa" w Berlinie, portal Miejskiej Biblioteki w Berlinie, dekoracje w hotelu „Deutschland" w Lipsku. W różnych miastach Fritz Kuehn projektował wykonane w metalu fontanny (jak np. fontanny z miedzianych rur w Halle), rzeźby w metalu, rozmaite elementy zdobnicze.

W NASTĘPNYM NUMERZE „ODGŁOSÓW":

★ **Rozmowa z wiceministrem Kultury i Sztuki — CZESŁAWEM WIŚNIEWSKIM, na temat polskiej kinematografii.**

★ **O „LUDZIACH W ZARĘKAWKACH" — pisze Krzysztof Pogorzelec.**

★ **Hanna Małkowska pisze o STANISŁAWIE ŁAPIŃSKIM, czyli Łapie.**

★ **Dla amatorów lektury z dreszczykiem — NOWELA KRYMINALNA.**

Od niedzieli do niedzieli

TE DNI MAJOWE

100 MILIONÓW KSIĄŻEK — KIERMASZ I STATYSTYKA — KTO CZYTA „DIALOG"? — SŁOWO O SŁOWIE — PÓŁ TYSIĄCA ODCZYTÓW — KSIĄŻKA ZA 40 GROSZY?

Jak co roku wchodzimy w te dni majowe — święteczne Dni Oświaty, Książki i Prasy, będące jednocześnie uroczystą galówką, podsumowaniem osiągnięć w dziedzinie upowszechniania kultury i wielkim kiermaszem książki, prasy i słowa.

Nie miejsce w felietonie na imponujące kolumny cyfr, na zestawienia i tabele — trudno jednak nie przypomnieć, że nakłady książek wzrosły w Polsce Ludowej trzykrotnie, że rocznie drukuje się prawie 100 milionów egzemplarzy książek, że mamy ponad 8 tysięcy bibliotek dysponujących 42 milionami tomów. Te liczby są wymowne, choć może zbyt astronomiczne, aby ich wielkość i wagę można sobie tak od razu uzmysłowić.

Oczywiście statystyka to broń obosieczna i wiele już dowcipów na jej temat wymyślono. Ze statystycznych danych na przykład wynika, że przeciętnie na majowych kiermaszach łodzianie kupują książek za 300 tysięcy złotych. Nie jest to właściwie mało, ale jeśli rozłożymy tę sumę na wszystkich statystycznych łodzian okaże się, że w czasie wiosennych dni kultury mieszkaniec naszego grodu wydaje na książki około... 40 groszy. I bądź tu człowieku mądry, gdy ci statystyka wchodzi w paradę.

Jeśli jednak weźmiemy pod uwagę, że tego maja podobnych kiermaszy odbędzie się w Łodzi aż 12 — to trzeba by owe 300 tysięcy złotych pomnożyć o tuzin. Wówczas 40 groszy przypadające na statystycznego łodzianina urośnie do około pięciu złotych. Jeśli z kolei weźmiemy za punkt wyjścia cenę przeciętnej książki, to..

Zostawmy tzw. dane porównawcze i spójrzmy na liczby bezwzględne. Trochę to pewniejszy grunt. Niedawno dyrektor Janusz Król z łódzkiego „Ruchu" podał mi bardzo interesujące dane dotyczące prasy literackiej i społeczno-kulturalnej i jej obecności w Łodzi i województwie.

Wynika z tych liczb, że bardziej interesują nas sprawy społeczne-ekonomii, polityki, gospodarki — niż sprawy kultury. Czy trzeba nad tym zjawiskiem załamywać ręce? No cóż — baza zawsze jest ważniejsza od nadbudowy.

Tak więc „Polityki", sprzedaje się w Łodzi i województwie ponad 6 tysięcy egzemplarzy — podczas gdy „Kultury" — 5 tysięcy a „Życia Literackiego" — 4200 egzemplarzy. Oczywiście można by dodać te dwie ostatnie liczby — uzyskać w ten sposób 9200 czytelników i udowodnić, że jednak prasa literacka ma większe powodzenie. Z doświadczeń i obserwacji jednak wiadomo, że z reguły czytelnik „Kultury" jest czytelnikiem „Życia Literackiego"... Ale tu znów zbaczamy na niepewne ścieżki statystycznych spekulacji, więc dajmy temu spokój.

Dla pełnego obrazu dodajmy jeszcze, że mamy w Łodzi 250 czytelników miesięcznika „Poezja" (chyba tylu jest poetów i poetów in spe) oraz 56 czytelników miesięcznika „Dialog" poświęconego sprawom dramaturgii i teatru. W tym drugim wypadku liczba jest bardziej niepokojąca. Działa przecież w Łodzi osiem teatrów, wydział aktorski, polonistyka, parę scen studenckich oraz kilka innych ambitnych ze społów amatorskich... Pięć dziesiąt sześć egzemplarzy miesięcznika „Dialog" na taką armię ludzi teatru i teatralnych kibiców oraz miłośników to rzeczywiście tragicznie mało. Aby się zbytnio nie rumienić ze wstydu nie podaję już danych dotyczących miesięcznych zwrotów „Dialogu" o których mówił mi dyrektor Król.

Bez porównania większym powodzeniem cieszy się miody, bo zaledwie o dwuletniej tradycji „Miesięcznik Literacki" — pismo bardzo wszechstronne i wbrew tytułowi ogarniające cały ogrom zagadnień kulturalnych, politycznych a nawet ekonomicznych — nurtujących współczesnego Polaka. „Miesięcznik Literacki" rozchodzi się w Łodzi i województwie w bliskich 700 egzemplarzach bijąc pod tym względem ukazującą się od 1945 roku „Twórczość" na którą zapotrzebowanie sięga u nas... 140 egzemplarzy.

Było więc słowo o książce i słowo o prasie społeczno-kulturalnej — czas na słowo o... słowie. Czyli o spotkaniach autorskich, prelekcjach i odczytach przygotowanych w związku z majowym kiermaszem kultury. Niestety i w tym wypadku nie da się uciec od liczb.

Tak więc pisarze spotkają się ze swymi czytelnikami na 130 imprezach — poza tym będzie ponad pół tysiąca różnego rodzaju odczytów oraz ponad 100 spotkań z ludźmi nauki, sztuki i działaczami społeczno-politycznymi. Będzie też 600 wystaw książki, dyskusje literackie, konkursy, wieczory literackie i literacko-muzyczne, imprezy masowe z występami artystów i amatorów... Słowem wielki, bogaty i różnorodny kiermasz kultury.

Oczywiście ta ilość i różnorodność imprez potwierdza uroczysty charakter tegorocznych obchodów Dni Oświaty, Książki i Prasy — Święta przebiegającego pod hasłami 25-lecia Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Te dni majowe są bowiem prostą konsekwencją tamtych lipcowych dni 1944 roku.

JERZY WIDOK

Bez strachu

PODOBNI I NIEPODOBNI

Kiedyś, w czasach mojego dzieciństwa, otaczało mnie kilka osób niezmiernie ode mnie różnych i niepodobnych nawzajem do siebie. Ja byłem bardzo mały, a Oni — nawet najmniejszy z nich — pogwizdujący Edek, który trzymał ręce w kieszeniach i brawurowo wyskakiwał z rozpędzonych tramwajów — Oni byli ogromni. Ale różni w swoim ogromie, rozmaici, odrębni do nieskończoności... Cóż miał wspólnego ów Edek z garbatą Franią, która wyjadała żurek z blaszanej miski i martwiła się, by zdążyć wyjść przed zamknięciem bramy. Jakie nici łączyły ze mną, czy z nimi wuja Karola, który był sublokatorem, kradł, uciekał przed policją i jeździł po całym świecie. Dla niego łatwiej było wyskoczyć z Polski do Argentyny, niż dla Edka z tramwaju, niż dla Frani przekroczyć bramę domu. W ciepły, wiosenny dzień wyszedłem do dobrze znajomego parku, usiadłem na ławce i w dzisiejszym tłumie szukałem Edka, Frani, Wuja Karola. To jest wiosenne jasne dzisiaj, gdzie są minione zjawy dzieciństwa — czy czas i przestrzeń starły je tak dokładnie, że jedynym ich grobem jest moja pamięć? Kiedyś ludzie wydawali mi się nieskończenie rozmaici — dzisiaj dręczy mnie uporczywe ich podobieństwo. Wkroczyli do parku oddziałami bliźniaków. Oto gromada wyrośniętych na witaminach, i na gimnastyce młodzieńców gra w warcaby przy kamiennych, parkowych stołach. Powoli odnajduję w nich Edka — Edka rozrośniętego ciałem i zwielokrotnionego. Rozbija teraz skutery, zamiast wyskakiwać z tramwajów. Bezgarbne Franie piły przed chwilą z Edkami kawę, a teraz spacerują w krótkich sukienkach i wiodą poważne, panieńskie rozmowy uporczywie nie dostrzegając zajętych warcabami Edków. Baczność... zbliża się gromada Wujów Karolów, na palcach noszą grube, złote sygnety, przechodzą mile uśmiechnięci z minami ludzi, którzy wiedzą swoje. W olbrzymiej fabryce świata odbijano sztancą ludzi mego dzieciństwa i nic im nie pomoże jeżeli wyprą się podobieństwa z pierwowzorami. Oczywiście nie są identyczni — są tylko bardzo podobni, pokrewni Edkom, Franiom i Wujom Karolom. Najbardziej przekształcony zostałem ja. Wyjmuję z albumu fotografię chłopczyka w aksamitnym ubranku, który z wyrazem napiętego oczekiwania patrzy na obiektyw, na stojącego obok obiektywu Edka. Frania, Wuja Karola. Okazało się, że to Oni ocaleli w niezliczonych Edko, Franio i Karolopodobnych osobnikach, a ja zginąłem bezpowrotnie — nic mnie nie łączy z dzieckiem z fotografii — żadna sztanca nie pracowała dla mojej nieśmiertelności. Czy ci wszyscy parkowi ludzie wiedzą, że są do siebie podobni, tak dalece podobni, że ocaleli przed gatunkową śmiercią — ich rodzaje są wieczne. Wstaję z ławki i wielokrotnie okrążam park szukając kogoś podobnego do mnie, lub do dziecka z fotografii. Nikogo takiego nie znajduję. Powoli zaczynam rozumieć — ja jestem po co innego, ja jestem po to by ich widzieć i opisywać, a potem bezpowrotnie umrzeć. Oni są po to aby mnie nie dostrzegać i aby w nieskończonych powieleniach żyć żyć bez granic, bez kresu.

BERNARD SZTAJNERT

JERZY WILMAŃSKI

„KIEDY ŁOWICZ STAJE W SZRANKI"...

Przy starym, łowickim ryneczku ustawiono zakazy wjazdu. Od kilkudziesięciu już godzin trwają próby na estradach, spoceni kamerzyści dyszą przy wizjerach, pan Pach rozpaczliwie woła „Marian, mikroport mi wysiadł" — pan Marzyński uprawia wyliczankę: „trzy, dwa, jeden..."

Jest sobota w samo południe — za dwadzieścia cztery godziny padnie już nieodwołalnie słowo „start". Rozpocznie się Turniej Miast. Nad trójkątnym rynkiem powiewają kolorowe „pająki" — właściwie „maxi-pająki" o parometrowych średnicach nad którymi łowicka ekipa pracowała wiele dni. Nikt jeszcze wówczas nie wiedział, że „pająki" zginą zupełnie na telewizyjnym ekranie, że zaledwie jeden czy drugi mignie nam na moment...

Na razie wszyscy są przejęci „pająkami", którymi targa wiatr, które zrywają się z lin i huśtają na wietrze. Powiększone, olbrzymie wzory łowickich wycinanek odklejają się od drewnianej konstrukcji.

Ale rutyniarze z ekipy wzruszają lekceważąco ramionami — „to drobiazg" — mówią — „tego nikt nie zauważy". Tłum się denerwuje, ktoś wygładza ręką jeden z kilkudziesięciu bibułkowych pąków... Honor miasta zawisł na sznurkach kolorową bibułką...

No, niezupełnie kolorową bibułką. Odmalowano dziesiątki domów — w Łowiczu zabrakło farby, trzeba ją było sprowadzać z innych miast, gdzie Turnieju nie przewidziano, więc malowanie było zbędne. Ekipa drogowców wylewa ostatnie beczki asfaltu na nawierzchnie uliczek — kosmetyka miasta, czyszczonego, pucowanego i malowanego kończy się na „pięć przed dwunastą". W witrynach sklepów kolorowe łowickie kilimy, lalki w wełniakach, wszędzie ten regionalny akcencik, którego na co dzień tak bardzo brak temu miastu.

Turniej dał temu miastu parę odmalowanych elewacji, trochę wyasfaltowanych ulic i bardzo, bardzo dużo lokalnego poczucia ważności. Choć tak po prawdzie to łowiczanie nigdy na brak tego poczucia ważności nie narzekali. Może właśnie dlatego na „pięć przed dwunastą" nastroje są tu nawet nie tyle optymistyczne co wręcz entuzjastyczne. „Wygramy" — mówią wszyscy i wydaje się to dla księżackiego grodu sprawą oczywistą.

Butnie głoszą transparenty, że „Sieradz do Turnieju straci wszelkie chęci, gdy łowicka krowa ogonem zakręci"...

Biedna ta krowina. Odstała swoje na okrągłej estradzie, w promieniach wiosennego słońca, bardzo smętnie pojadała sianko i widać było, że poczciwe bydlę wcale się nie cieszy z debiutu w telewizji.

Początkowo przewidywano, że oba miasta wystawią do konkursu udoju po dwie krowy i już w czasie programu nastąpi ostatecznie losowanie. Była też koncepcja, żeby krowy były neutralne, z innych powiatów, co miało być może wykluczyć możliwość krowich machlojek?

Przed szacownym gremium złożonym z notabli powiatowych realizatorzy wysunęli taki właśnie projekt. Sprzeciw był ogólny.

— Jak to — zakrzyczeli merowie i sekretarze — jak to możliwe? Toć przecież nasz kierownik wydziału rolnictwa od paru tygodni trenuje udój na naszej krowie. Obca mu mleka nie da, a jeszcze — co nie daj boże — kopnie nam kierownika!

Tak więc postanowiono zostać przy krowach-patriotkach miejscowych. Ale — czy to krowie intensywność przygotowań zaszkodziła, czy kierownik był zbyt przetrenowany — dość, że konkurs udoju niestety Łowicz przegrał. Nie pomógł doping i instruktaż pana Pacha, który wołał: „całą dłonią, panie kierowniku, całą dłonią, i do kubełka, nie po oczach!"

Niestety — nie wyszło. Czy też raczej — nie wyciekło.

„Wyciągajcie wszyscy szyje — patrzcie: Łowicz Sieradz bije" — kilkunastometrowy transparent rozwiesili uczniowie na gmachu szkolnym. Inny transparent głosi, że „Kiedy Łowicz staje w szranki — gorzko płaczą sieradzanki"...

Nastrój podniosły i bojowy. Zatłoczoną ulicą wolniutko przejeżdża „Nysa" ze znakami rejestracyjnymi FS. Tłum się burzy, wyrostki podnoszą krzyk.

— Sieradzki samochód — na prześpiegi przyjechali!

Kierowca uśmiecha się, ale wyraz twarzy ma niepewny.

Na rynku istne korso — promenują łowiczanie, komentują — w biurach pustki — wszyscy wylegli na miasto. Kandydat na posła Wacław Żak ze Skaratek nie odstępuje na krok od sieczkarni. Pańskie oko konia tuczy — i choć żar z nieba spływa, Wacław Żak trwa na posterunku w wizytowym garniturze i zdobionym, tradycyjnym kapeluszu księżackim.

Pan Marzyński z łódzkiego studia komenderując woła przez dziesiątki głośników na łowickim rynku: „halo Sieradz, halo Sieradz — to wszystko musi być idealnie zgrane tak jak w Łowiczu..." — „Baa" — dumnie wzdycha tłum łowicki — „u nas jest idealne zgranie"...

I nikt nie przeczuwa klęski, nikomu jeszcze się nie śni, że pan Benoit da się tak skołować panu Marzyńskiemu, że wstrzyma się od głosu przez co Łowicz straci punkt. Niesłusznie zresztą, bo łowickie propozycje „Telimeny" były o niebo oryginalniejsze, piękniejsze i w duchu regionu. Nikt nie przypuszcza, że panią Katarzynę Bartoszewską ogarnie taka trema i zdenerwowanie, że przed okiem kamery zaczną jej drżeć ręce i nitka z kołowrotka wysnuje się tak krótka...

Na razie jednak jest sobota, żar spływa z nieba na wtłoczone w wełniaki „dramatis personae", pan Wołowiec rwie się do śpiewu, przytupuje nogą, ale pan Marzyński z łódzkiego studia liczy tak jakoś od końca „trzy, dwa, jeden... co jest do cholery, Gieniu, dlaczego ten pan nie ma kapelusza...".

Pan Pach interweniuje — kapelusz już jest na właściwej głowie, znów zaczyna się liczenie „trzy, dwa, jeden...".

„Łysy graj" — woła ktoś z widzów, pan Wołowiec tupie nogą — kapela przygrywa cicho żeby nie wyjść z wprawy — z głośnika leci nagranie...

„Zaczynamy taniec" — zapowiada pan Marzyński — pary ustawiają się na estradzie, ludzie wyciągają szyje... Długa chwila ciszy — „dlaczego one nie tańczą" — denerwuje się z Łodzi pan Marzyński. „Bo nie ma muzyki" — odpowiada przytomnie pan Pach. Muzyka rzeczywiście się skończyła.

Więc znów liczenie od końca. Potem nie było wizji z Sieradza i pan Marzyński mocno nakrzyczał na pana Suzina. Potem nie było fonii i pan Pach kazał komuś liczyć do mikrofonu, ale tym razem od jednego do dziesięciu. Potem nie było już nic, bo panu Pachowi znów nawalił mikroport.

A potem kiedy była i wizja i fonia to w Sieradzu zajęli się nagrywaniem jakichś dodatkowych detali.

— „No dobrze, ale dlaczego akurat teraz?" — chciał wiedzieć pan Marzyński, lecz nie dostał odpowiedzi, bo znów wysiadła fonia.

Ludzie kochani — to trwało dobre kilkadziesiąt godzin. Można było właściwie stracić nadzieję, że program w ogóle się uda.

Ale udał się. Bardziej dla Sieradza — mniej dla Łowicza, choć 700 tysięcy złotych to przecież nie pestka. W księżackim grodzie wstydliwie pochowano gromkie transparenty — pozostały jednak odmalowane domy, nowe nawierzchnie na ulicach i trochę mołojeckiej sławy. Oraz ogromny potencjał rozbudzonych lokalnych pasji.

KAROL BADZIAK

Sieradz zwycięski

Tego się nie da opisać. Podniecenie tłumu z minuty na minutę przerastało w euforię, by z chwilą zwycięskiego finału przerodzić się w ekstatyczną radość. Kiedy przestało patrzeć oko telewizji, a operatorzy zaczęli zwijać sprzęt, rozkołysał się sieradzki rynek w szaleństwie. Tłum wdarł się na estradę i zaczęły się ogólnosieradzkie pieszczoty, wszyscy się całowali, ściskali, klepali po plecach, tańczyli, fikali kozły z uciechy, chodzili na rzęsach ze szczęścia. Wezuwiusz lokalnego patriotyzmu długo w noc ział płynem ognistym.

Pokonani łowiczanie chyłkiem opuszczali miasto. A tymczasem wirował Sieradz w tanecznej wiktorii. Tańczył przewodniczący Powiatowej Rady z przewodniczącą Koła Gospodyń, właścicielką 19-kilogramowego indyka, tańczył przewodniczący Miejskiej Rady z właścicielką największego koguta w powiecie, a sekretarz tejże Rady z właścicielką najcięższej gęsi Rozalią Slipek z Monic, najlepszy furman tańczył z właścicielką potężnego kaczora, tańczył najlepszy traktorzysta, tańczyli wszyscy. I ci od drobiu i ci od wycinanek i ci od sieradzkich pasiaków. A nad wszystkim górował w tanecznym korowodzie długi melancholijny Jan Suzin, oblegany przez rój sieradzkich wielbicielek. Może i zakonnice tańczyły, ale klasztor za wysokim murem więc nie było widać. One podobno również przyczyniły się do zwycięstwa, tkając konkursowe stroje ku chwale sieradzkiego folkloru.

Wielka jest siła telewizyjnego turnieju miast. Takiej ofiarności i aktywności społecznej nie notowano w Sieradzu od lat. Do komitetu organizacyjnego spontanicznie zgłaszali się młodzi, starzy i najstarsi — a wszyscy chętni, gorliwi i bezinteresowni. Jest coś pięknego w tym sportowym zapamiętaniu, które wyzwala tyle inicjatywy, pomysłowości i społecznego działania. Wielka to sztuka przetworzyć drzemiącą w ludziach żyłkę hazardu w zdrową konstruktywną ambicję. Potwierdzeniem tego niech będzie fakt, że w ostatnich tygodniach przed teleturniejem nawet miejscowi chuligani się ustatkowali i zaniechali rozróbek w imię celów wyższego rzędu. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby po zwycięstwie zadeklarowali chęć wstąpienia do ORMO.

Zawsze miałem wysokie mniemanie o mieszkańcach Sieradza. Jest to bodajże jedyne miasto w województwie, któremu się jeszcze nie naraziłem w swych reportażach. Ja to zwycięstwo przeczuwałem od lat. Chyba już wtedy kiedy nocowałem w tutejszym hotelu „Pod Zamkiem". Parę wieków przede mną nocowała tu królowa Jadwiga. Historyczne bowiem to miasto, zabytkowy to hotel. Być może spałem w tym samym pokoju i na tym samym łóżku co królowa, bo że na tym samym prześcieradle, to jestem pewien jak dwa razy dwa jest pięć.

Na parę minut przed rozpoczęciem tych szlachetnych zawodów zasięgałem języka wśród miejscowej ludności o stanie ducha opinii publicznej. Królowa sklepu spożywczego o nieskazitelnych manierach pracownika handlu uspołecznionego powołała się w swej wypowiedzi na swą poprzedniczkę królową korony polskiej: „Sieradz jest miastem królewskim — rzekła — i nie może przegrać. Królowa Jadwiga by się w grobie przewróciła gdy byśmy ponieśli klęskę".

To był argument nie do zbicia. Nisko pochyliłem czoła przed monarchistką zza lady chyżo unosząc z sobą pół kilo wiejskiej kiełbasy w cienkim flaku, którą z okazji teleturnieju sprzedawano tego pamiętnego dnia we wszystkich spożywczych sklepach miasta.

Duch zwycięstwa od samego początku unosił się wysoko nad Sieradzem. I daleko. Rodowici sieradzanie, których los rozrzucił po różnych zakątkach kraju, słali listy do swych ziomków z zapewnieniami, że będą trzymać „mocno kciuki" za zwycięstwo.

„Drogi Panie Janku!

Jest piątek, godzina dwunasta. Siedzę w domu nad rękopisami, które na chwilę odłożyłem na bok, ażeby panu przesłać informację zamieszczoną w naszym beniaminku prasowym „Wieczorze Wrocławia". Równocześnie cierpię, ponieważ nie mogę doczekać się niedzieli, kiedy to naprawdę będę szalał skoro ujrzę sieradzki rynek tudzież znajome twarze moich przyjaciół. Studiując „W W" zleciałem z tapczanu, gdy na ostatniej stronie dojrzałem nazwę naszego Sieradza. Oczywiście, do porządku przywołała mnie żona, ale wie Pan, rodzinne strony zawsze cieszą serce człowieka w dalekiej krainie. W dniu kiedy byłem u Pana nie zastałem ponieważ wyjechał Pan do Gubina. No, ale za kilka miesięcy znów się spotkamy. A obecnie ze wszystkimi sieradzakami trzymamy mocno kciuki pytając się „kto wygra?"

A na razie pragnę Pana poinformować, że informacja ta jest na ostatniej stronie „W W" pt. „Rewia wielkiego folkloru". Na razie kończąc swój list życzę Sieradzowi zwycięstwa, a Pana gorąco i serdecznie wraz z żoną pozdrawiam

Maria i Zdzisław Siciarkowie",

Prawie sto osób z Sieradza brało bezpośredni udział w gigantycznych zmaganiach, ale nie da się zliczyć ilu było chętnych. Co rusz ktoś powodowany zdrową męską ambicją przysporzenia splendoru swemu miastu przychodził do Prezydium z ofertą wystąpienia przed kamerami telewizji. Propozycje były ponętne, gierojskie, gwarantujące 100-procentowe zwycięstwo. Oto miejscowy weterynarz zgłosił chęć udziału w konkurencji ujeżdżania byków. Twierdził, że jest pod tym względem niezawodny, technikę jazdy na byku ma opanowaną perfekt. Do corridy jakoś nie doszło, byka zastąpiono krową, której jak wiadomo nie ujeżdżał, lecz jedynie doił naczelnik wydziału rolnego. Oczywiście doił skutecznie, po sieradzku a nie po warszawsku jak czynił to naczelnik w Łowiczu. W tej konkurencji Sieradz odniósł pełne zwycięstwo.

Pewien mieszkaniec Sieradza chciał wystąpić w zawodach rąbania drzewa. Jest to jego hobby. Nie skorzystano. Nie odbyły się również zawody fryzjerek damskich. Fryzjerki łowickie nie podjęły rzuconej im rękawicy. Nie odbyły się także zawody wioślarskie i kajakowe oraz wiele innych. Sieradz dysponuje szerokim asortymentem różnych osobliwych zawodników. Niestety w Łowiczu nie znalazł odpowiednich partnerów. Co prawda w konkurencji wycinanek i tkactwa ale to już jest kwestia gustu. Ja osobiście uważam, że wycinanka sieradzka była ładniejsza. Parysko-sieradzki fryzjer Cierplikowski też tak uważał. W tym jednym punkcie się z sobą zgadzamy, bo we wszystkich innych mam zaszczyt mieć zupełnie odmienne zdanie. Kokieterię znoszę, ale tylko u młodych, ładnych panienek.

Lewym okiem

PROSTY SPOSÓB NA SKOMPLIKOWANIE

Może coś jeszcze raz o książkach — z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy? Proszę bardzo: niektóre księgarnie świadczą miłą i pożyteczną usługę wysyłki książek za granicę na zlecenie klienta. Sporo wydaje się dzieł, jak ulał pasujących na upominek dla cudzoziemca. Nawet wydaje się je w obcych językach, z pięknymi zdjęciami polskich krajobrazów, zabytków, dzieł sztuki. Z krótkiego listu czytelnika do „Polityki" dowiadujemy się jednak, że już się ktoś skutecznie postarał o to, aby prosta i miła w zamyśle rzecz nie była nazbyt prostą.

Podobno księgarnie, upoważnione do wysyłek zagranicznych, mają prawo przyjąć zlecenie od jeanego klienta tylko na jeden egzemplarz, na jeden adres A jak chce się ten sam album „Kolusz ki by night" sprezentować przyjacielowi w Buł garii i kuzynce w Australii, to trzeba odczekać dziesięć tygodni, czyli akurat tak długo, żeby każdy tytuł zniknął bezpowrotnie z półek. Jest naturalnie sposób: kupić od razu parę egzemplarzy, jeden zlecić do wysyłki księgarni, pozostałe poroznosić po różnych urzędach pocztowych i zwyczajnie stamtąd je nadać. To właśnie jest ten prosty sposób na skomplikowanie sprawy. Po co załatwić od razu, kiedy można pogonić klienta, niech się nie zasiedzi?

Przyczyna takiego zarządzenia nie jest i nie może być zrozumiała dla nikogo, chyba dla autora też nie, ale to nic: zarządzenia są po to, żeby je przestrzegać, a nie żeby rozumieć.

Pewna łódzka licealistka koresponduje z rówieśnicą w dalekim Kazachstanie. Przy jednym z listów otrzymała od niej kalendarz, ilustrowany ładnymi, kolorowymi zdjęciami i prośbę o podobny kalendarz polski. Licealistka schodziła pięć razy Łódź wzdłuż i wszerz, kalendarza z ilustracjami nie znalazła, aż wreszcie poratował ją znajomy pracownik pewnej centrali handlu zagranicznego: centrala ta wydała własny kalendarz reklamowy, przeznaczony na upominki dla kontrahentów. Dużo było radości w domu licealistki, ale kalendarz do Kazachstanu nie dotarł. Został w Łodzi. W urzędzie celnym okazało się bowiem, że nie posiada zatwierdzonej ceny! Że nie jest objęty cennikiem!! Że nie wiadomo, od jakiej wartości policzyć wysokość cła!!! Wobec tego nie liczyć, nie cłić i nie wysyłać. Następny, proszę...

I tylko ze zdumieniem stwierdziliśmy, że kazachstański kalendarz też nie miał ceny, i jakoś doszedł. Nie wiem, jak to jest możliwe.

Z okazji dni oświaty będziemy mieli znów kiermasz, będą siedzieli w kioskach pisarze, rozdający autografy. Uczciwie, z ręką na sercu, musimy sobie powiedzieć, że w naszym mieście te kiermasze i ci pisarze w kioskach budzą znacznie mniej zainteresowania niż gdzie indziej. Może dlatego, że — jak powiedział jeden z wybitniejszych łódzkich autorów — trzeba być potrąconym przez tramwaj, żeby móc liczyć na ujrzenie swego nazwiska w codziennej prasie łódzkiej. Ta prasa nie odnotowuje książek, prawie że nie zamieszcza recenzji, nie korzysta z piór literatów, nie popularyzuje literackiego środowiska Łodzi. Takiej całorocznej ciszy nie zrównoważy jednodniowy wybuch programowego entuzjazmu w początkach maja. Nie jest to stan godny kontynuowania, pisarze chcą i powinni być obecni w publicznym życiu miasta na co dzień, nie tylko przy wielkim wiosennym święcie. Mówiąc zwyczajnie: chcą i powinni „mieć prasę", oczywiście taką, na jaką zasługują przez swą twórczość. A przecież na pewno nie zasługują na milczenie.

Rzecz nie objęta cennikiem, to niekoniecznie rzecz pozbawiona wartości i niekoniecznie podejrzana kontrabanda. Wysłanie dwóch, trzech, czy nie daj Boże czterech książek za granicę to jeszcze nie prywatny wielki byznes naruszający równowagę dewizową. Pisarz i w ogóle twórca, nie dostrzegany przez najbliższe mu topograficznie środowisko dziennikarskie, to niekoniecznie pisarz, nie zasługujący na uwagę. Witamy Dni Oświaty, Książki i Prasy!

ĆWIEK

Redaguje zespół: Jan Koprowski (red. naczelny), Karol Badziak (dział terenowy), Halina Bekowa (red. techniczny), Konrad Frejdlich (dział publicystyki), Andrzej Makowiecki (dział reportażu), Jerzy Wilmański (dział kulturalny), Terese Wojciechowska. Wydawca — Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wewn. 29, 39, 46, 41 i 42. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6 zł, kwartalnie 18 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. [illegible] V. P-1.